

**SUZANNE SIMMS**

**Byle nie ślub!**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wszelkie śluby i uroczystości weselne to iście kretyński wymysł. Strata czasu i pieniędzy.

Był o tym przekonany. Sam zdążył już zaliczyć jeden ślub. O jeden za dużo. Masa przygodnych gapiów, tysiące dolarów wyrzuconych przy tej okazji w błoto na zakup fikuśnych sukien i fantazyjnych fraków, duszący zapach niezliczonych kwiatów inspektowych, całe fury wykwintnego jedzenia i nie kończący się strumień trunków. Wszystko to zupełnie niepotrzebnie, całkiem bez sensu.

Wiedział z własnego doświadczenia, że połowa świeżo upieczonych par małżeńskich nie potrafi przetrwać w jakiej takiej harmonii nawet miodowego miesiąca. Przy pierwszym zetknięciu się z nową rzeczywistością dziewczyna biegnie z płaczem do kochanej mamuski, a mężczyzna - do najbliższego baru, gdzie szuka ukojenia w gronie samotników, topiąc w alkoholu swe smutki.

Tak. Wszelkie związki małżeńskie to naprawdę jedna wielka lipa.

Ross St. Clair musiał jednak przyznać otwarcie, że ten ślub, zawierany w małym miasteczku na wyspie Santo Tomas, był inny niż wszystkie. Wyglądało na to, że tym razem młodzi naprawdę pasują do siebie. No i nie bez znaczenia był fakt, iż on sam występował na tej uroczystości w nie byle jakiej roli jedyne gościa honorowego.

Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego zaproszono mnie na ten ślub, myślał Ross, potrząsając w zadumie

głową. Przecież każdy przeciętny mężczyzna byłby w stanie pokazać tym ludziom, w jaki sposób wykopać nową studnię. No, musiał przyznać, może niezupełnie każdy. Do tego był potrzebny ktoś, kto ma trochę umiejętności i oleju w głowie. Widocznie mieszkańcy wyspy Santo Tomas go docenili.

Miejscowy ksiądz kończył właśnie wykonywać różne dziwne gesty nad głowami świeżo poślubionych. Całą mszę z tej uroczystej okazji odprawił w lokalnym narzeczu, w jednym z ogromnej liczby języków, którymi posługiwali się mieszkańcy gigantycznego archipelagu wysp u południowo-wschodnich wybrzeży Azji. Ceremonię zakończył po hiszpańsku słowami: niech Bóg ma was w swojej opiece.

W małym kościółku zgromadzili się niemal wszyscy mieszkańcy Santo Tomas. Posuwając się powoli w długim korowodzie, każdy z osobna błogosławił młodą parę i życzył jej szczęścia, po czym mijając ukwiecony, święty obraz miejscowego patrona przechodził wprost na miejsce szumnie nazywane głównym placem miasta.

Nie był to plac w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Stały tutaj należące do rybaków trzcinowe chaty, *sawali*, o strzechach z liści palm kokosowych. Usytuowano je wzdłuż burej, błotnistej rzeki, nie mającej nawet nazwy. Na tym terenie przynajmniej nie było szczerów wodnych, które tak bardzo utrudniały życie mieszkańcom okolic Cotabato, a także z rzeki nie wychodziły na brzeg krokodyle, bo je swego czasu wytępiono. I to w obrębie całego archipelagu Wysp Filipińskich, liczącego ponad siedem tysięcy wysp i wysepek.

O tym wszystkim Ross słyszał od tubylców. Miał błogą nadzieję, że nie był przedmiotem żartów i że miejscowi wieśniacy nie zakpili sobie z biednego Joego. Tym imieniem nazywali wszystkich znanych

sobie Amerykanów. Najstarsi członkowie tutejszej społeczności, tak bardzo izolowanej od reszty świata, nadal pamiętali chwilę, w której pierwsi Amerykanie stawiali stopę na wyspie. Byli nimi żołnierze jednego z plutonów armii Stanów Zjednoczonych podczas drugiej wojny światowej. Od tamtej pory nie pojawił się tutaj prawie żaden Amerykanin, ale określenie „Joe” przetrwało.

Teraz zaczynało się przyjęcie weselne, urządzone zgodnie z miejscowym obyczajem. Z kilku domów stojących przy placu i należących do krewnych panny młodej wyniesiono jedzenie i picie. Ustawiono je na długich stołach pokrytych różnobarwnymi obrusami. Od razu znaleźli się też muzycy. Zaczęli grać. W ich pobliżu pojawiły się na placu tańczące pary. Gdy grupa chłopców zapaliła ogień, tworząc płomienny krąg, zrobiło się spore zamieszanie. Panujący zgiełk zwiększało szczekanie okolicznych psów. Cała ta wrzawa przerodziła się w prawdziwy festyn ludowy.

- Hej, Joe! Chcesz się napić? - łamaną angielszczyzną zawołał do Rossa jeden z tubylców.

Człowiek ten nazywał się Cebu. Był stary i bezzębny. Jak twierdzili mieszkańcy miasteczka, miał co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, z których ostatnie dziesięć spędził siedząc na progu *sari-sari* - jedyne go sklepu w Santo Tomas - pałac, popijając sfermentowany napój z orzechów kokosowych lub z trzciny cukrowej i zabawiając gromadę dzieci przedziwnymi opowieściami. Był ich ulubieńcem.

- Z przyjemnością, Cebu. Dziękuję za zaproszenie. Chętnie się z tobą napiję. Trzeba uczcić ten dzień.

Ross niezwykle szybko nauczył się tutejszej mowy, co wprawiło w zdumienie mieszkańców miasteczka. Potrafił też od biedy porozumieć się po tagalsku, czyli w jedynym oprócz angielskiego urzędowym języku

na Filipinach, oraz w kilku innych narzeczach, których na wyspach było bez liku.

Nic w tym dziwnego. Już przed laty, w szkole, jeden z nauczycieli ciągle powtarzał, że mały Ross ma wyjątkowe zdolności lingwistyczne.

- Może zostaniesz z nami i też sobie wybierzesz jakąś dziewczynę na żonę? - żartował Cebu, kiedy obaj usiedli popijając miejscowy trunek.

- Jestem za młody, żeby się żenić - oświadczył Ross z niezwykłą powagą.

- Joe, a ile ty masz lat? - spytał jakiś mężczyzna.

- Trzydzieści cztery - odpowiedział Amerykanin.

Słyszając to Cebu wykrzyknął:

- Dzisiejszy nowożeniec ma dwadzieścia. Nie jesteś za młody!

Ross St. Clair podniósł do ust szklaneczkę, wypił jednym haustem całą jej zawartość i otarł wargi wierzchem dłoni. Postanowił się bronić.

- Wobec tego jestem za stary.

- Nie jesteś *viejo*, to Cebu jest stary - do rozmowy wtrącił się jeszcze inny mieszkaniec wyspy, posługując się używaną najczęściej na Filipinach mieszaniną języka angielskiego, hiszpańskiego i lokalnego.

Wszyscy roześmieli się głośno. Ktoś dolał jeszcze wina kokosowego i uroczystości weselne trwały nadal.

Ross St. Clair wziął do ręki szklaneczkę z winem i wstał od stołu.

Obowiązki gościa honorowego już spełnił. Wzniósł oficjalny toast na cześć nowożeńców. Brał udział w tańcach. Najadł się do syta. Przysłuchiwał się rytualnym recytacjom i bił głośno brawa, gdy pan młody śpiewał jedną z najpiękniejszych starych filipińskich pieśni miłosnych, *kundiman*.

Zbliżał się wieczór. Nadchodził zmierzch. Ross poczuł nagle przemożną ochotę zobaczyć zachód

słońca. Ruszył więc w stronę piaszczystego wybrzeża znajdującego się na odległym krańcu wyspy.

Zachód słońca był tutaj cudownym, wręcz olśniewającym zjawiskiem. Na tej wyspie, będącej wzgórzem pochodzenia wulkanicznego na morzu Celebes i położonej w pobliżu równika, słońce znikało z nieba błyskawicznie, w ciągu zaledwie kilku minut. Żeby znaleźć się w porę nad brzegiem morza, trzeba było przyspieszyć kroku.

Ross szedł ścieżką wydeptaną przez tubylców w bujnej, zielonej dżungli. Przed nim, na końcu traktu, przebłyskiwała niebieska woda. Czuł smak soli w powietrzu. Chciał jak najszybciej dojść do wybrzeża, by zrzucić sandały i zanurzyć bosc stopy w rozgrzanym słońcem piasku.

Dzikie orchidee, których rosnę tutaj bez liku, co chwila ocierały się o jego twarz. Widział wiele przeróżnych odmian. Niemal zachłystywał się powietrzem przesyconym odurzającą wonią tych egzotycznych kwiatów. Szedł coraz szybciej. Jeszcze tylko parę kroków, a wynurzy się z dżungli.

I w tej właśnie chwili ujrzał jacht.

Imponujących rozmiarów, połyskujący w słońcu nieskazitelną bielą. Piękny i niezwykle kosztowny. Był zakotwiczony w sporej odległości od brzegu.

Ross stanął jak wryty.

W tej części świata wszyscy przybysze byli zawsze traktowani z dużą dozą podejrzliwości dopóty, dopóki nie udało się ustalić, czy zjawiają się jako przyjaciele, czy też jako wrogowie. Przed wzrokiem obcych chronił Rossa skraj dżungli, której nie zdążył jeszcze opuścić. Stał nadal nieruchomo, w pełnym pogotowiu, wyczulając wszystkie zmysły. Natężył słuch.

Z oddali dobiegały ludzkie głosy.

Zrobił ostrożnie krok w przód i spoza gęstych liści palmy zaczął obserwować brzeg morza. Zobaczył

dwóch mężczyzn stojących na piasku. Rozmawiali z widocznym ożywieniem. Najpierw dość długo mówił jeden, potem drugi. Od czasu do czasu gestykulowali potrząsając głowami. Wyglądało na to, że ubijają jakiś interes. Oprócz nich Ross dostrzegł jeszcze paru innych mężczyzn. Uzbrojeni w półautomaty, stali rozstawieni wzdłuż linii brzegowej, a jeden patrolował skraj dżungli w pobliżu kryjówki Rossa.

Na pierwszy rzut oka było widać, że nie są to mieszkańcy wyspy.

Skupił uwagę na obu rozmawiających. Jeden z nich, zwrócony twarzą w stronę Rossa, był ubrany w kosztowny, pretensjonalny kombinezon żeglarski, czapkę imitującą kapitańską i pasujące do tego stroju eleganckie buty.

Drugi z mężczyzn miał na sobie brązowe spodnie od dresu i białą koszulę z krótkim rękawem. Za każdym razem, gdy poruszał głową, długie włosy ocierały mu się o kołnierzyk. Stał tyłem do Rossa.

Bezszelestnie przesunął się nieco bliżej. Teraz już zupełnie wyraźnie słyszał ich głosy.

Rozmawiali po angielsku.

- Mówię ci przecież, że ona nic nie wie - zapewniał mężczyzna w brązowych spodniach.

Jego rozmówca miał tak ochrypły głos, jakby już zdążył wypalić od rana tuzin hawańskich cygar.

- Twoja w tym głowa, żeby się nie dowiedziała.

W odpowiedzi padły najpierw jakieś ciche przekleństwa, a potem słowa:

- Nie ma obawy, sam zajmę się Dianą.

Facet w stroju żeglarskim mruzczał coś pod nosem, tak jakby miał nadal jakieś wątpliwości.

- Kiedy jej samolot z Los Angeles ląduje w Manili?  
- spytał po chwili.

- W środę.

- A więc dostaniemy towar pod koniec tygodnia.

- Tak. Obiecuję.

- Jeśli coś nie wypali, to ta Winsted zapłaci swoją śliczną głową.

Zapłaci głową? - powtórzył w myśli zaniepokojony Ross. Jak to rozumieć? Dosłownie?

- Tylko bez gróźb, Carlosie - odpowiedział mężczyzną w brązowych spodniach, chyba młodszy niż jego rozmówca. - Towar będzie na czas.

Towar?

Jaki towar? Chodzi o narkotyki? Przemyt? Fałszywe pieniądze? Diamenty? Wyobraźnia Rossa pracowała w niesłychanie szybkim tempie.

Postanowił jednak wziąć się w garść. Przecież to czyste szaleństwo, żeby w każdym człowieku upatrywać przemytnika narkotyków. Widocznie już za długo przebywam w tych stronach, pomyślał Ross, i nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, że już niemal przeistoczyłem się w tubylca.

Nie czas na takie rozmyślania. Teraz najważniejsze jest zidentyfikowanie mężczyzn stojących nad brzegiem morza. Niestety, zachodzące słońce i miejsce, w którym się znajdował, uniemożliwiały przyjrzenie się obu nieznajomym.

Ross ocenił szybko ich wzrost i budowę ciała. Mężczyzna przebrany za żeglarza był niski, nieco przysadzisty i miał czarne włosy. Przyciemnione okulary zasłaniały mu nie tylko oczy, lecz także sporą część twarzy. Czoło skrywała czapka. Ross nie widział więc wiele.

Podejdz trochę bliżej, odwróć się, niech przynajmniej zobaczę cię z profilu, mówił w myśli do nieznajomego. Robiło się ciemno i, co gorsza, obaj mężczyźni widocznie już się dogadali. Na pożegnanie podali sobie ręce. Teższy podszedł do motorówki czekającej przy brzegu. Uzbrojona eskorta podążyła za nim. Wsiedli wszyscy do łodzi, uruchomili silnik i popłynęli



prosto w stronę zakotwiczonego jachtu. Miał jakąś nazwę wymalowaną na burcie, ale z tak dużej odległości nie można było jej odczytać.

- Oddałbym teraz wszystko za dobrą lornetkę!  
- jęknął Ross.

Szczuplejszy mężczyzna oddalał się wzdłuż brzegu. Wsiadł do małego hydroplanu. Wybrzeże opustoszało. Po kilku minutach nie było już żadnego śladu po tej intrygującej scenie.

Zapała ciemność. Ross nawet nie zauważył, że zaszło słońce.

O co tutaj chodzi? - zapytywał sam siebie wynurzając się spod osłony liści palmowych. I co ja mam, do diabła, dalej z tym fantem robić?

Nic, odpowiedział na własne pytanie. Dosłownie nic. Nie ruszę nawet palcem. A cóż mnie może obchodzić jakaś Diana Winsted? Cała historia wygląda nadzwyczaj podejrzanie, chodzi o jakąś nielegalną działalność. I to nie moja sprawa. Nie będę wtykał nosa w cudze, brudne interesy. Jasne?

Decyzja Rossa była nieodwołalna.

Czy rzeczywiście groziło coś tej kobiecie?

Dyskutował sam z sobą. Nie, nawet palcem nie ruszy, postanowił. Już dawno minęły te czasy, kiedy był doskonale wychowanym, szarmanckim młodym człowiekiem wyciągającym z opresji różne damulki. To nieprawda. Nie wyciągał z opresji żadnych damulek i nie był szarmanckim młodym człowiekiem, który zawsze robił to, co należy. Nic nie pozostało z tych lat, gdy Ross St. Clair, pochodzący ze starej arystokratycznej rodziny, był dobrym synem Rachel i Matthew St. Clairów z Phoenix i San Fernando Valley.

Zmienił się nie do poznania. Stał się innym człowiekiem. Odrzucił chlubną przeszłość. Teraz miał się różnych zawodów. Obdarzony talentem do języków

i smykałką do robót technicznych, włóczył się po świecie. Z kraju do kraju, z miasteczka do miasteczka.

Nie był niczym skrepowany. Przychodził i odchodził, kiedy mu się podobało. Dzięki Bogu, był człowiekiem wolnym. Naprawdę wolnym.

Dwa miesiące temu przyszła mu ochota na podróż na tę właśnie wyspę. Spodobało mu się, więc został dłużej. Podjął się wykopania nowej studni i robotę wykonał. Mieszkańcy mieli teraz wodę nadającą się do picia. Nic go tutaj dłużej nie zatrzymywało. W każdej chwili mógł opuścić to miejsce. Pozostawało tylko ustalić następny port przeznaczenia i ruszyć w drogę.

Rossowi nie udało się jednak zapomnieć o rozmowie podsłuchanej nad brzegiem morza. Męczyła go. Bez przerwy powtarzał sobie to, co usłyszał. Głęboko utkwily mu w pamięci słowa starszego mężczyzny: ta Winsted zapłaci swoją śliczną głową.

Czy rzeczywiście jest taka ładna? - zastanawiał się Ross.

Przypomniał sobie, co mówił drugi mężczyzna. Że Diana Winsted nie wie o niczym.

A więc jest niewinna.

Jeśli to prawda, musi coś z tym zrobić. Przecież nie wolno dopuścić, aby niewinna kobieta zapłaciła głową! Czy mogę udawać, zapytywał się Ross, że nic się nie stało, i czy mogę pozostawić Dianę Winsted na pastwę losu? Nie. Tak nisko jeszcze nie upadł.

Przyszła mu teraz na myśl zasada, którą przez całą młodość wpajali rodzice. Synu, kieruj się sumieniem, mówili. Niech ono będzie w życiu twoim przewodnikiem.

A w ogóle to czy miał jeszcze sumienie? Czy odrzucił je wraz ze wszystkim, co wiązało się z moralnością tej warstwy społecznej, z której pochodził?

Odpowiedź musiała brzmieć: nie.

- Niech to wszyscy diabli! - wykrzyknął Ross na widok wylanej zawartości szklaneczki, którą przez cały czas ścisnął bezwiednie w rękę. Patrzył, jak szybko u jego stóp wino wsiąka w miękki piasek.

Decyzję już powziął. Ustalił cel dalszej podróży. Wróci do Manili. Na spotkanie pewnego samolotu.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wygląda nadzwyczaj niechlujnie, pomyślała Diana Winsted zatrzymując wzrok na sylwetce mężczyzny stojącego po drugiej stronie kantoru odprawy paszportowej, na którą czekała na lotnisku Metro Manila.

Mężczyzna przyciskał do piersi sztywny karton. Widniało na nim jej nazwisko. Zastanawiała się, czy duże, wyraziste litery wypisał sam. Zarówno w jego wyglądzie, jak i charakterze pisma, było coś, co przyciągało uwagę. Coś bardzo wymownego.

Diana założyła eleganckie okulary przeciwsłoneczne i czekała spokojnie, aż urzędnik sprawdzi paszport. Miała teraz dobrą okazję, by ukradkiem przyjrzeć się mężczyźnie.

Nie wyglądał ani na kierowcę, ani tym bardziej na pracownika korporacji, w której pracował Yale.

Kim może być? - zastanawiała się Diana. Ni stąd, ni zowąd przyszło jej do głowy, że mężczyzna ma wygląd najemnika, mimo że nigdy żadnego oczywiście nie widziała i nie miała pojęcia, po czym ich się poznaje.

Miał brązowe, lekko zwichrzone włosy, na skroniach spłowiełe od słońca. Zaniedbane i długie, zwisały aż na kark. Był bardzo opalony. Widocznie nie słyszał nigdy o raku skóry lub tam, gdzie przebywał, nie znano środków ochronnych z filtrami przeciwsłonecznymi.

Ostatni raz golił się jakieś dwa dni temu. Zarost na twarzy nie skrywał jednak wyrazistej, mocnej szczęki, jakby wykutej w granicie. Miał prosty, klasyczny nos o nieco arystokratycznym wyglądzie. Sieć drobnych

zmarszczek okalała zewnętrzne kąciaki oczu. Diana nie mogła dostrzec ich barwy. Miały zagadkowy wyraz.

Był ubrany w kombinezon wojskowego typu, bardzo wymięty i przemoczony. Przesiąknięty potem lub deszczem, który o tej porze roku nawiedzał często te rejony świata. Na nogach miał żołnierskie, nigdy chyba nie czyszczone buty. Z barczystego ramienia zwiisał płócienny plecak. Nie wiadomo dlaczego Diana była przekonana, że ten mężczyzna wędruje zawsze bez bagażu, mając za cały dobytek to, co znajduje się w zniszczonym worku, przewieszonym przez plecy.

Ona sama podróżowała z czterema dużymi, luksusowymi walizkami od Louisa Vuittona. Była teraz zadowolona, że resztę rzeczy zostawiła w domu.

Urzędnik postawił stempel w paszporcie. Z zawodowym uśmiechem wręczył go Dianie.

- Witamy na Filipinach - powiedział. - Życzymy pani miłego pobytu.

Diana skinęła lekko głową. Zaczęła gromadzić bagaż, przywołując równocześnie tragarza.

W tej chwili stanął przed nią mężczyzna w wymiętym kombinezonie.

- Diana Winsted? - spytał.

- Tak.

Nawet się nie przywitał. Złapał ją za łokieć, starając się jak najszybciej odciągnąć od miejsca odprawy paszportowej. Nie zwracał przy tym żadnej uwagi ani na bagaż, ani na zdumionego tragarza.

Przyciszonym głosem, bardzo wyraźnie oddzielając poszczególne słowa, powiedział:

- Musimy od razu stąd wyjść.

Próbowała uwolnić rękę, lecz mężczyzna nadal ścisnął jej ramię.

- Czy byłby pan uprzejmy wyjaśnić, o co chodzi?

- Później - odrzekł niemal szeptem.

Diana postanowiła zachować spokój. Co zresztą

może jej się stać na takim wielkim, ruchliwym lotnisku? Natychmiast jednak uprzytomniła sobie z lekkim niepokojem, że to wielkie, ruchliwe lotnisko znajduje się szmat drogi od domu, że leży na drugim końcu świata.

- Nie. Teraz. Proszę wyjaśnić mi natychmiast - powiedziała nie znoszącym sprzeciwu tonem. To, że ten mężczyzna był bez wątpienia Amerykaninem, co poznała po wymowie, w żaden sposób nie usprawiedliwiałoby jego obcesowego zachowania. - Czy jest pan pracownikiem korporacji Yale'a? - spytała po chwili. - Gdzie on jest? Dlaczego sam po mnie nie przyjechał?

- Yale?

- Tak. Mój narzeczony, Yale Grimmer.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

Diana szarpnęła ręką, próbując się uwolnić i za-trzymać.

- Proszę chwilę poczekać, panie...

- Nazywam się St. Clair. Ross St. Clair.

Nie wyglądał na kogoś, kto może nosić tak dobre nazwisko. Wyglądał jak najemnik. Lub szpieg, który nadszedł w deszczu, z książki Le Carrego. Lub też kowboj w kombinezonie koloru khaki.

Mężczyzna nadal trzymał Dianę za rękę. Była tak blisko, że nie mogła uniknąć jego przenikliwego wzroku. Oczy miał niezwykle. Ani niebieskie, ani zielone, ani też brązowe. Stanowiły przedziwną mieszaninę tych trzech barw, dokładnie taką, jaką miał wypolerowany agat, który kiedyś widziała.

Z agatowych oczu mężczyzny przebijała inteligencja. Zaskoczyło to Dianę.

- Skąd pan pochodzi? - spytała.

- Z Phoenix.

- Z Phoenix?

- Tak. W stanie Arizona.

- Nie musi mi pan tego mówić, panie St. Clair,

wiem dobrze, gdzie znajduje się Phoenix. - Po chwili wycodziła jeszcze przez zęby: - Sądzę, że to wyjaśnia wszystko.

- Co wyjaśnia?

Przyjmując ton pełen wyższości, odpowiedziała:

- Pańskie kowbojskie zachowanie.

Uśmiechnął się, ale bez przekonania.

- Kowbojskie zachowanie? - powtórzył zaskoczony.

- A skąd pani pochodzi?

- Z Grosse Pointe.

- Z Grosse Pointe?

- Tak. W stanie Michigan.

- Nie musi mi pani tego mówić, pani Winsted. Wiem dobrze, gdzie znajduje się Grosse Pointe.

- Mruknął coś jeszcze, ale tego Diana nie zrozumiała.

- Słucham? - spytała.

- Sądzę, że to wyjaśnia wszystko.

- Co wyjaśnia?

Dialog się powtarzał.

Ross St. Clair uniósł z godnością głowę i doskonale naśladowując jej własny, cierpki ton, powiedział:

- Że zachowuje się pani jak panienka na wydaniu.

Dianie zrobiło się gorąco.

- Nie jestem panienką na wydaniu - odrzekła, z trudem ukrywając rozdrażnienie.

Przyglądał się jej uważnie agatowymi, przenikliwymi oczyma.

- A ja nie jestem kowbojem. No to mamy remis.

Zorientowała się, że mężczyzna prowadzi ją nadal w kierunku najbliższego wyjścia z budynku lotniska.

- Mam już tego dość. Boli mnie ramię. Panie St. Clair, proszę natychmiast zostawić mnie w spokoju.

O dziwo, posłuchał.

Ramię właściwie nie bolało, ale Diana odruchowo zaczęła je masować.

- Wracam po bagaż - powiedziała. - I odszukam

kierowcę, którego na pewno przysłał po mnie narzeczony.

- Powtarzam. Musimy szybko opuścić lotnisko.

- Panie St. Clair...

- Mam na imię Ross.

- Panie St. Clair, podróżuję bez przerwy od dwudziestu pięciu godzin. Od chwili, w której opuściłam dom, siedziałam w czterech taksówkach, byłam na pięciu lotniskach i znajdowałam się co najmniej w czterech strefach czasu. Po drodze zdażyłam stracić poczucie humoru. Stało się to, jak sędzę, gdzieś nad Pacyfikiem. - Czubkiem eleganckiego pantofelka stuknęła w ziemię. - Albo są to głupie żarty, albo jest pan wariatem. Zresztą nieważne. Jestem zmęczona i głodna. Nie pójdę z panem ani kroku dalej.

Od razu się zatrzymał. Przez chwilę milczał. Wyglądał na zdesperowanego. Zmierzwił ręką gęste włosy.

- Grozi pani niebezpieczeństwo - powiedział spokojnie.

- Czyżby? - spytała unosząc brwi. - Jeśli tak, to chyba tylko z pańskiej strony.

- Do diabła, nie z mojej. Jestem jedynym człowiekiem, któremu może pani zaufać.

- Przecież jest pan obcy. W ogóle się nie znamy. Zjawia się pan nieoczekiwanie i oświadcza, że coś mi grozi. Ciągnie mnie pan nie wiadomo gdzie. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym panu zaufać.

Był wyraźnie zgnębiony.

- Proszę posłuchać. Przez trzy dni i trzy noce podróżowałem łodzią, pociągiem, samolotem, autobusem i łązikiem. - Wyliczając te środki lokomocji zaginał na wyciągniętej ręce jeden palec po drugim. - Po to, żeby dotrzeć na czas na to lotnisko i odszukać panią. Od północy wychodziłem na każdy samolot, który przylatywał z Los Angeles. Ja też zdażyłem już



stracić poczucie humoru. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale powtarzam: grozi pani niebezpieczeństwo. Znalazła się pani w tarapatkach. Ma pani duże kłopoty.

- Jedynym moim kłopotem jest pan - powiedziała spokojnie. - A teraz, proszę mi wybaczyć, jestem zmuszona się pożegnać. Wracam odszukać bagaże i tragarza.

- Proszę posłuchać...

- Niech pan się wreszcie ode mnie odczepi! W przeciwnym razie zacznę głośno krzyczeć. Bardzo głośno.

- Diana nie żartowała. Naprawdę zamierzała tak zrobić. Godność godnością, ale to wszystko stało się już niepokojące, zaczynało przypominać zwykłe uprowadzenie. - Zaraz tak zrobię, może być pan pewny - dodała.

Zaklął.

Diana odwróciła się i odeszła z dumnie podniesioną głową.

Niech to wszyscy diabli, mam tego dość, pomyślał rozgoryczony Ross.

Zrobił, co do niego należało. Próbował ostrzec Dianę Winsted o grożącym niebezpieczeństwie. A ona nie chciała go nawet wysłuchać.

A swoją drogą ta kobieta miała świetne nogi, najładniejsze, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się oglądać. Nogi rasowe, jak u klaczy czystej krwi. Długie i smukłe. Poruszały się wspaniale.

Swego czasu Ross poznał dobrze ten typ kobiet. Były nieznośne. Nawet świętego potrafiłyby doprowadzić do ostateczności.

Cały czas patrzył za odchodzącą kobietą i zastanawiał się, czym tak bardzo ją zirytował. Aha. Powiedział, że jest panienką na wydaniu. Tak. Na pewno tym.

Przecież mówił prawdę. Dobrze ułożoną panienką na wydaniu. Od razu było widać, że pochodzącą

z dobrego domu, wyuczoną salonowych rozmów i robiącą zawsze to, co należy. Znał dobrze takie damulki z wyższych sfer, z rodzin mających szlachetne, bo stare pieniądze. Diana Winsted wiedziała, jakiego widelca używa się do ryb, w jakich kieliszkach po kolacji podaje się likiery i kto, zgodnie z obowiązującym protokołem, powinien siedzieć przy stole po prawej stronie pani domu: senator Stanów Zjednoczonych czy dostojnik kościoła.

Ubierała się znakomicie. Mógłby przysiąc, że bez względu na to, czy było dwadzieścia, czy czterdzieści stopni Celsjusza w cieniu, miała zawsze nienaganne uczesanie i doskonały makijaż. Była wyniosłą, szykowną i zgrabną blondynką, piękną w stylu bohaterek filmów Alfreda Hitchcocka.

Rossowi przyszła nagle do głowy jeszcze inna myśl. A może, podobnie jak gwiazdy z filmów Hitchcocka, pod zimną, nieprzeniknioną fasadą kryła się namiętna, zmysłowa kobieta?

Tak czy inaczej, pierwsza próba ostrzeżenia Diany Winsted spaliła na panewce. Czekają go jeszcze jedno podejście.

W szybie budynku lotniska dojrzał nagle swoje odbicie. Ledwie się rozpoznał. Wyglądał okropnie. Jak ostatni łązga.

Miał już gotowy plan dalszego działania. Najpierw musiał się dowiedzieć, w jakim hotelu zatrzymała się ta kobieta. Dwudziestodolarowy banknot szybko zmienił właściciela i tragarz, który zajmował się bagażem pani Winsted, udzielił Rossowi potrzebnej informacji.

Teraz musiał koniecznie ostrzec się, a potem ogolić i wykapać. Przydałoby się także wyczyścić ubranie.

W każdym razie ta paniuszka na wydaniu, a może namiętna, zmysłowa kobieta, miała najlepszą parę nóg, na jakich kiedykolwiek spoczęło jego oko.

## ROZDZIAŁ TRZECI

W pierwszej chwili w ogóle go nie poznała.

Był wieczór. Siedziała w restauracji eleganckiego, starego hotelu Manila, studiując kartę potraw i myśląc o własnych sprawach. Podniosła na chwilę głowę i spojrzała przed siebie. Stał przy wejściu na salę.

Wśród gości hotelowych wyraźnie się wyróżniał. Nie tylko dlatego, że był wysoki i dobrze zbudowany, barczysty i wąski w pasie. Nie był także przystojny w zwykłym znaczeniu tego słowa, gdyż z rysów jego twarzy przebijała hardość, a cała sylwetka sprawiała wrażenie topornej, z gruba ciosanej.

Diana dopiero teraz go rozpoznała. Był to ten zwariowany mężczyzna z lotniska, który próbował ją uprowadzić i który oświadczył, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Ross St. Clair.

Okazał się jednak mądrzejszy, niż początkowo przypuszczała. Potrafił ją znaleźć. Na pewno przekupił tragarza i dowiedział się, gdzie się zatrzymała.

Podniosła do góry kartę i zasłaniając nią dolną część twarzy, zaczęła ukradkiem obserwować swego prześladowcę.

Musiała bezstronnie przyznać, że w nowym wcieleniu Ross St. Clair prezentował się znacznie lepiej niż w poprzednim. Zdażył pójść do fryzjera i podciąć włosy, które jednak nadal, jak na jej gust, były zbyt długie. Ogolił się. Był ubrany w ten sam kombinezon, co poprzednio, ale świeżo wyczyszczony i wyprasowany.

Nadal w tym człowieku było coś prymitywnego.

Nie wyglądał na przedstawiciela cywilizowanego świata. Dla Diany Winsted oznaczało to tylko jedno: Ross St. Clair był mężczyzną nieodpowiednim.

Tego typu ludzi znała aż za dobrze. Nie dalej niż w zeszłym roku obserwowała z bólem i bezsilnością, jak taki właśnie nieodpowiedni mężczyzna złamał serce jej najlepszej przyjaciółce.

Określenie „nieodpowiedni” oznaczało różne wady, zwłaszcza zaś brak odpowiedzialności i niechęć do przyjmowania na siebie jakichkolwiek zobowiązań. Nieodpowiednim mężczyzną był także ten, kto kochał niebezpieczeństwo i awanturnicze życie, oraz ten, kto dawał się bezwolnie unosić losowi i szedł po linii najmniejszego oporu.

Diana szczerze nienawidziła tego typu mężczyzn i przysięgła sobie, że zakocha się w człowieku odpowiednim. Takim właśnie mężczyzną był Yale Grimmer.

Yale jest obdarzony samymi zaletami, pomyślała z prawdziwą satysfakcją. Ma doskonały wygląd, dyplom Uniwersytetu Harvarda, pieniądze - nie za duże, gdyż zbytek uznawany jest za wulgarny - dobre pochodzenie, ambicje zawodowe, które sprawiły, że otrzymał niedawno awans na wiceprezesa korporacji kierującego operacjami w Azji i na Pacyfiku. Zyskał także pełną aprobatę jej rodziców, co było bardzo ważne.

Czego więcej mogłaby sobie życzyć każda kobieta?

Yale Grimmer był idealny. Brakowało mu tylko jednego: odpowiedniej żony.

Ja nią zostanę, postanowiła Diana kilka miesięcy temu. Dlatego właśnie przemierzyła pół świata i znalazła się na Filipinach, żeby być razem z narzeczonym. Mieli wspólnie wyszukać tutaj odpowiedni dom i zorganizować przyszłe małżeńskie życie w tej części świata. Pod koniec lata wrócą oboje na krótko do

Stanów, aby się pobrać - będzie to wspaniałe wesele - a potem jeszcze spędzą miesiąc miodowy na Hawajach.

Nikt i nic nie zniweczy tych planów, pomyślała Diana.

- Dotyczy to także pana, panie Rossie St. Clair - szepnęła do siebie opuszczając i kładąc na stole kartę potraw.

W tej chwili, jakby na zawołanie, mężczyzna w kombinezonie znalazł się przy jej stoliku.

- Gdzie pani przyjaciel? - zapytał.

Diana odetchnęła głęboko, policzyła w myśli do dziesięciu i z trudem oparła się chęci, żeby pomachać mu przed nosem ręką z połyskującym diamentem pierścieniem zaręczynowym.

- Yale jest moim narzeczonym.

- Niech będzie. Gdzie on jest?

Próbowała zachować kamienny wyraz twarzy.

- Nie wiem.

- Już go pani straciła? A może tylko chwilowo się zagubił? - Ross St. Clair wydawał się rozbawiony.

Głos Diany zabrzmiał dziwnie wysoko.

- Ani jedno, ani drugie. W recepcji hotelowej czekała na mnie wiadomość, że musiał wyjechać w sprawach służbowych. Do Manili wróci jutro.

Ross uśmiechnął się szeroko.

- No to dobrze się stało, że jestem w pobliżu. W przeciwnym bowiem razie byłaby pani zdana na łaskę losu i musiała spędzić samotnie pierwszy wieczór w nieznanym kraju i w nieznanym mieście.

- Bywają gorsze sytuacje, panie St. Clair - wycodziła przez zęby Diana.

- Rossie. Proszę mi mówić po imieniu. - Wysunął krzesło i usiadł bezceremonialnie po przeciwnej stronie stolika. - Czy zjemy razem kolację? Czy już coś pani zamówiła? Jeśli nie, polecam *łapu lapu*. Jest to filipińska

ryba, bardzo delikatna i smaczna. Nigdzie indziej pani jej nie dostanie. Naprawdę specjał.

- Panie St. Clair...

- No dobrze, dobrze. Sam zaraz zamówię dla nas obojga. - Do kelnera, który pojawił się niepostrzeżenie przy stoliku, powiedział: - Na początek prosimy o zupę ze świeżych owoców morza, a potem zjemy *lapu lapu*. - Spojrzał na Dianę. - Z ryżem?

Była tak zaskoczona jego zachowaniem, że nie zdołała wymówić ani słowa. Wzruszyła tylko ramionami. Co za tupet, pomyślała.

Ross zamawiał dalsze potrawy.

- Prosimy jeszcze o *pansit* i *pinakbet*, a potem o kawę i owoce.

- *Pansitl* - powtórzyła pytająco Diana.

- Potrawa z ryżu i makaronu przyprawiona limoną i sosem sojowym, a *pinakbet* są to różne warzywa: zielony groszek, pomidory, oberżyna i piżmian. Z czosnkiem, cebulą i imbirem. W kuchni filipińskiej stanowią trzy najczęściej stosowane przyprawy. Czy pani wie - mówił dalej Ross St. Clair - że w języku togalskim jest około stu sześćdziesięciu słów dotyczących samego ryżu?

- Nie miałam o tym pojęcia.

Przy stoliku zapanowała niezręczna cisza.

- Jak długo pani tutaj zostaje? - spytał.

- Gdzie? W hotelu?

- Tak.

- Jeszcze nie wiem. - Dalsze plany Diany zależały od tego, co postanowił Yale.

- Hotel Manila to słynny historyczny zabytek. Podczas drugiej wojny światowej miał tutaj swoją kwaterę generał MacArthur. Oczywiście, całe wnętrze zostało później unowocześnione. Elegancki hotel. Najwyższej klasy.

Diana wzięła lnianą serwetkę leżącą obok talerza i rozpostarła ją sobie na kolanach.

- Mój narzeczony zawsze wybiera wszystko to, co najlepsze.

- Kobiety też?

Diana zniosła spokojnie to zaczepne pytanie.

- Zwłaszcza kobiety - odpowiedziała i po chwili zmieniła temat. - Od jak dawna pan tutaj przebywa?

- Proszę mi mówić po imieniu.

Był naprawdę męczący. Postanowiła się poddać.

- Dobrze.

Ross uśmiechnął się promiennie.

- Masz na myśli Manilę?

- Nie. Obszar Pacyfiku, Filipiny, w ogóle tę część świata. Jak długo tu jesteś?

- Jakiś czas.

Ross St. Clair sprawiał wrażenie człowieka, który jest tutaj od dawna.

- Kilka lat? - pytała dalej.

Zastanowił się przez chwilę.

- Krócej. - Wziął łyżkę i zanurzył ją w zupie, którą przed nimi postawił kelner. - Jeśli tu dłużej ! zostaniesz, te wyspy cię zmieniają.

- Oczywiście, że zostaną. To postanowione.

Wzruszył ramionami.

- Przekonasz się, że życie w takich prymitywnych warunkach obnaża człowieka, ściera z niego cały blichtr cywilizacji. Ujawnia ludziom, kim naprawdę są.

Diana sięgnęła po łyżkę.

- A kim ty jesteś? - spytała.

- Człowiekiem. Po prostu człowiekiem.

- Mężczyzną, który nagabuje nieznaną na lotnisku i oświadcza, że grozi jej niebezpieczeństwo?

Ross podniósł wzrok i spojrzał uważnie na Dianę.

- Proszę, daj mi dziesięć minut, a wyjaśnię ci, o co chodzi. Jeśli nie uwierzysz, to trudno. Powiem sobie

wówczas, że zrobiłem wszystko, co mogłem. Będę miał przynajmniej czyste sumienie.

Ta przemowa wyraźnie ją zaskoczyła. Od paru chwil zaczęła przy tym wyraźnie odczuwać fizyczną obecność tego mężczyzny. Siedzieli przy małym stoliku bardzo blisko siebie.

- Dziesięć minut?

- Tak.

Rzuciła okiem na wytworny złoty zegarek.

- Nie trać więc czasu. Masz jeszcze tylko dziewięć i pół minuty.

Ross wyraźnie się zasepił.

- Od czego, do licha, mam zacząć?

- Spróbuj od początku - z uśmiechem na twarzy odrzekła słodkim głosem.

Jakże chętnie starłby pocałunkiem ten jej sarkastyczny uśmiech.

- Za długo by to trwało. Zacznę od tego, co dotyczy bezpośrednio ciebie.

- Znakomity pomysł, zwłaszcza że zostało ci już tylko dziewięć minut.

Diana Winsted zachowywała się nienagannie i równocześnie była nie do zniesienia. Ross zastanawiał się, ile czasu zajęło jej doprowadzenie do perfekcji tej szczególnej cechy sztuki konwersacji.

Wziął się w garść, skupił i zrelacjonował całą rozmowę podsłuchaną nad brzegiem morza. Starczyło na to równo osiem minut.

Kiedy skończył, Diana podniosła głowę znad talerza *lapu lapu* i powiedziała rozbawiona:

- To bardzo interesująca, a nawet podniecająca historyjka.

Ta idiotka mu nie uwierzyła.

W żaden sposób nie potrafił tego pojąć.

Zaklął pod nosem i po chwili najbardziej surowym głosem, na jaki było go stać, powiedział:



- Przypominam, pani Winsted, w razie gdyby pani już o tym zdążyła zapomnieć lub tego w ogóle nie zauważyła, że jest pani cholernie daleko od domu. Na Pacyfiku, a nie w Grosse Pointę w stanie Michigan. Tutaj wszystko może się zdarzyć. W tej części świata dzieją się rzeczy, o których w Stanach Zjednoczonych nigdy nikomu przez najbliższe tysiąc lat nie będzie się nawet śniło.

Zauważył, że poczerwieniały jej koniuszki uszu.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Nie jestem naiwna - oświadczyła.

- Wszystko, co mówiłem, to święta prawda.

Diana srebrnym widelcem przesuwiała machinalnie jedzenie na talerzu.

- Nie wątpię, że tak sądzisz.

Mało brakowało, a Ross zadławiłby się kawałkiem ryby.

- Uważasz, że wymyśliłem tę historię? Że jestem niespełna rozumu?

Uniesione w górę brwi młodej kobiety były już wystarczającą odpowiedzią. Wzruszyła ramionami.

- Jest jeszcze inna możliwość. Że w tak oryginalny sposób próbowałeś się do mnie zbliżyć.

- Oskarżasz mnie o to, że chciałem cię poderwać? - zapytał zdumiony.

Wyraźnie unikała jego wzroku. Podparła dłonią podbródek.

- Nie przeczę, że taka myśl przyszła mi do głowy - przyznała.

Ross odchylił się na krześle.

- To godne ubolewania - jęknął. Po chwili jednak wyprostował się i zapytał:

- Ile ty masz właściwie lat?

Speszyło to nieco Dianę, ale odpowiedziała:

- Dwadzieścia sześć.

Potrząsnął głową. Tak. To wiele wyjaśniało. Była

młodsza niż sądził. Zmyliła go chyba jej wytworna fryzura. Gdyby te jasne, jedwabiste i długie włosy opuściła luźno na ramiona, wyglądałaby z pewnością o wiele młodziej.

- Czy sypiasz z Grimmerem? - zapytał nagle.

- Słucham?

- Pytałem, czy sypiasz z Yale'em Grimmerem - powtórzył.

- Ciii. Nie mów tak głośno. Wszyscy się nam przyglądają - szepnęła przerażona.

Nawet nie próbował odwrócić głowy, żeby sprawdzić.

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma - odrzekła szybko. Była wyraźnie zaniepokojona pytaniem.

- No więc? Sypiasz z nim?

W złocistobrazowych oczach młodej kobiety pojawiły się gniewne błyski. Ściszyła głos.

- Nie twój interes - powiedziała ze złością.

A więc nie sypiała.

Było widać, jak bardzo jest zła.

- Zaraz mnie zapytasz o rozmiar bielizny - dodała po chwili.

Spojrzał na jej pełne, zaokrąglone piersi.

- Biustonosz numer trzydzieści cztery C. - Opuścił oczy nieco niżej. - Majtki rozmiar pięć. - Objął teraz wzrokiem całą jej sylwetkę. - Sukienka osiem, a może dziesięć, bo jesteś dość wysoka. Masz sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i ważysz sześćdziesiąt kilogramów.

Wyraz twarzy Diany wskazywał na to, że trafił niemal w dziesiątkę. Jej arystokratyczny nos powędrował nieco wyżej.

- Nie spytam, skąd taka wiedza.

Ross z zapałem jadł *lapu lapu*. Po minucie, a może dwu, dobrowolnie udzielił informacji:

- Inżynierska.
- Inżynierska?
- Studiowałem w wyższej szkole technicznej.

Wypowiedź tę potraktowała nadzwyczaj sceptycznie. Wyraz jej twarzy jednoznacznie na to wskazywał.

- Raz miałeś rację. Ryba rzeczywiście jest wyborna.
- Jadła wytwornie, małymi kęsami.

To znaczy, że w pozostałych sprawach nie miał racji. To znaczy, że po prostu tracił czas.

- W przyszłości postaram się oprzeć stwierdzeniu „a nie mówiłem”, ale zobaczysz, kiedyś pożałujesz
- poważnie powiedział Ross, odstawiając pusty talerz.
- Już teraz żałuję.
- Czego?

- Że w ogóle słuchałam tego, co mówiłeś. I że pozwoliłam ci się dosiąść i jeść ze mną kolację.

- Odłożyła na bok zdjętą z kolan serwetkę i z godnością wstała od stołu. - Proszę mi wybaczyć, parne St. Clair, jeśli rzeczywiście tak się pan nazywa. Muszę się jeszcze rozpakować. Zamierzam wcześniej iść spać.

- Proszę się mną nie krępować - odrzekł spokojnie Ross, biorąc leniwym ruchem do ust następny łyk kawy.

- Nie zamierzam. - Zrobiła krok w stronę wyjścia z sali i przez ramię rzuciła: - Żegnaj pana.

- Adios, młoda damo - mruknął pod nosem, odstawiając opróżnioną filiżankę.

Podniósł się, z kieszeni kombinezonu wyciągnął pieniądze i położył je na stole. Zapłacił za kolację. Skierował się do wyjścia i opuścił restaurację.

Wielka szkoda.

Szkoda takiej urody, prezencji i wdzięku dla kogoś tam Yale'a Grimmera, pomyślał. Co go to zresztą obchodzi? Nie jego interes. Prawdopodobnie Diana i ten facet są nawzajem siebie warci. Tworzą dobrze dobraną parę.

Stał właśnie na progu hotelu zastanawiając się, czy wziąć taksówkę, czy do swego hotelu wracać piechotą, gdy nagle za plecami usłyszał, że ktoś go woła.

Odwrócił się powoli i zobaczył Dianę Winsted biegnącą w jego stronę. Wysokie obcasy pantofelków stukały głośno o podłogę.

- Panie St. Clair! - wołała.

- Słucham? - zapytał znużonym głosem, gdy znalazła się bliżej.

Była bardzo zdyszana.

- Panie St. Clair...

- Mam na imię Ross.

- Posłuchaj, proszę. - Próbowwała złapać oddech.

- To, co mi mówiłeś, może nie jest takie niewiarygodne, jak początkowo sądziłam.

- Czyżbyś zdążyła już zmądrzeć i zmienić zdanie? - zapytał.

- Można i tak to oceniać. - Nerwowo przesuwała językiem po suchych wargach i zaciskała przed sobą dłonie. - Chodzi o mój pokój.

- Pokój? - Rossowi zjeżyły się nagle włosy na głowie. Wyteżył wszystkie zmysły, podobnie jak wtedy nad brzegiem morza. - Czy coś się stało?

- Było włamanie. Ktoś splądrował mój apartament.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- O kur... - W ostatniej chwili Ross ugryzł się w język. - ...ka wodna - dokończył.

Stojąca obok niego ładna, szykowna blondynka westchnęła głośno.

- Niezbyt miłe to wygląda, prawda?

Zatrzymali się pośrodku luksusowego apartamentu. Oczom ich przedstawiał się niecodzienny widok. Poprzewracane krzesła. Rozrzucone, opróżnione walizki. Wyciągnięte szuflady. Otwarte szeroko drzwi od szaf. Po całym pokoju walały się damskie rzeczy.

Krótko mówiąc, wyglądało to okropnie.

Ross zagwizdał przez zęby.

- Wygląda na robotę zawodowców.

- Zawodowców? - Głos Diany zabrzmiał jak echo.

Wszedł do sypialni, ostrożnie omijając rzeczy leżące na podłodze.

- Trzeba przyznać, nie próżnowali. Robota wykonana solidnie. Przetrzęsęli wszystko. - Od razu przyszli mu na myśl ludzie znad brzegu morza. Uzbrojeni w półautomaty. - A co ty o tym sądzisz?

Diana popatrzyła na Rossa.

- Sądzę, że ktoś przewrócił do góry nogami mój pokój hotelowy.

Odwrócił się i zatopił w młodej kobiecie twardy, przenikliwy wzrok.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Wyglądała jak skończona niewinność.

Spojrzenie Rossa zatrzymało się na różowej nocnej koszulce leżącej obok łóżka. Był przekonany, że

Diana niczego nigdy nie rzuca na podłogę, że zanim splądrowano pokój, wszystko znajdowało się tutaj w idealnym porządku.

- Czy czegoś brakuje?

W odpowiedzi wruszyła tylko ramionami.

- Mam wezwać ochronę hotelową? - zapytał.

- Nie wiem - odparła niepewnym głosem.

- A policję?

- Nie wiem.

- Co chcesz więc zrobić?

- Nie wiem - powiedzieli oboje równocześnie.

- Jeśli oficjalnie zgłosimy włamanie, będzie z pewnością dużo biurokratycznego zawracania głowy. Proponuję, żebyśmy najpierw sami sprawdzili, czego brakuje. - Ross pochylił się i zdjął koronkowy biustonosz zwisający z poręczy fotela. Kołysał nim trzymając ramiączko na palcu. - Możemy założyć, że złodziejom nie zależało na twojej bieliźnie.

Szybkim ruchem Diana wyrwała mu biustonosz z ręki.

- Zbyt dużo uwagi poświęca pan mojej bieliźnie.

- Być może. Upłynęło trochę czasu od chwili, w której takie ładne szmatki widziałem po raz ostatni - odrzekł z nikłym uśmiechem.

Chciała coś odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Podeszła do porozrzucanych rzeczy i zaczęła je zbierać.

Ross poustawiał przewrócone meble, a następnie usiadł na eleganckim wyściełanym fotelu. Założył nogę na nogę i przyglądał się dziewczynie. Każdy jej ruch był płynny i pełen wdzięku. Patrzył na Dianę z największą przyjemnością.

To ona sprawiła, że w tym wytwornym otoczeniu czuł się jak słoń w składzie porcelany.

- Nic nie jest podarte ani zniszczone - oświadczyła wieszając w szafie ostatnią sukienkę.

- Co z biżuterią?

- Przywiozłam niewiele, chyba nic nie zginęło  
- powiedziała przyglądając się naszyjnikom, kolczykom i innym świecidełkom zgromadzonym na środku łóżka.

- A pieniądze?

- Miałam je przy sobie w torebce. Część zostawiłam, jak zawsze, w walizce. Są.

- A czeki podróżne?

- Też są.

Diana podeszła do skórzanej torby, wyglądającej na męską, i ponownie zaczęła sprawdzać jej zawartość. Wyciągnęła komplet srebrnych szczotek, diamentowe spinki do mankietów, jakieś książki i starannie opakowaną butelkę szkockiej whisky. A także fajkę.

- Masz szczęście, że ci jej nie ukradli - powiedział przyjacielskim tonem.

- To nie moja fajka. Yale prosił mnie, żebym przywiozła mu kilka rzeczy, które zapomniał zabrać.

- Nie rozumiem - oświadczył Ross rozpięrając się na fotelu.

- To proste. Pakował się w pośpiechu i nie zabrał paru drobiazgów - wyjaśniła.

- Nie mówię o rzeczach twojego przyjaciela.

- Machnął lekceważąco ręką. - Nie rozumiem, czego mogli szukać tutaj złodzieje. Gdyby to była zwykła kradzież z włamaniem, zabraliby pieniądze i biżuterię. Nie widzę sensu w tym, co się stało.

Diana usiadła na brzegu materaca i zaczęła metodycznie składać bieliznę. Przy każdym ruchu po-brzękiwały maskotki przyczepione do bransoletki, którą nosiła na rękę.

- Tak. Bez sensu - przyznała. - Chyba, że to byli wandale.

Ross potrząsnął przecząco głową.

- Włamali się i przekonali, że nie ma nic wartościowego? - zapytała.

Ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

Próbowała dalej:

- Pomylili pokoje i zbyt późno się zorientowali?
- Chyba nie, Diano. Ci faceci na plaży wyraźnie łączyli twoje nazwisko z jakimś towarem.
- Towarem? - Głos młodej kobiety lekko się załamał.

- Czy ktoś mógł ukradkiem podrzucić ci w drodze jakąś paczuszkę?

- Sądzisz, że posłużono się mną jako kurierem?
- Diana mówiła już prawie szeptem.

Tak właśnie myślał, ale głośno powiedział:

- Może.
- Nie było okazji. Wprost z domu moje bagaże zostały zawiezione na lotnisko, gdzie od razu je odprawiłam. Tylko ja mam do nich klucze.

- Czy znasz człowieka o imieniu Carlos? - spytał.

- Jakiegoś Carlosa? Chyba nie. Nie. - Diana dotknęła ręką skroni. - Zawraca mi pan głowę, panie St. Clair.

- A ja myślałem, że tylko...

W tym momencie odezwał się telefon stojący przy łóżku.

Drgnęli oboje.

- Lepiej odbierz sama - poradził Ross.

Diana podniosła słuchawkę.

- Halo? - zapytała. Zmarszczyła czoło. - Bardzo źle słyszę. Fatalne połączenie. Czy to ty, Yale?
- Zamilkła na chwilę. Aha. Tak. Rozumiem. Gdzie teraz jesteś? Na wyspie Port Manya? W mieście Port Manya? Oczywiście, że mogę. Poczekaj, wezmę tylko coś do pisania. - Spojrzała wymownie na Rossa.

- Mam wyjść? - zapytał szeptem.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Chcesz czegoś?

Pokazała na migi. Papier i ołówek znalazł w szufladzie.



Diana mówiła dalej do słuchawki:

- Musisz powtórzyć, Yale. - Zanotowała kilka słów i jakąś liczbę. - Zapisałam. Linia Azjatycka. Jutro o dziewiątej trzydzieści. Lot na Port Manya. Mam odebrać bilet na lotnisku.

Ross bez żenady przysłuchiwał się całej rozmowie. Diana nadal wyteżała słuch.

- Tak. Noszę. Nigdy nie zdejmuję. Przecież o tym wiesz.

Rozmawiali widocznie o jej pierścionku zaręczynowym. Nosiła go na lewej ręce. Od razu to zauważył, przy pierwszym spotkaniu.

- Dobrze. Do zobaczenia jutro wieczorem w hotelu w Port Manya. - Stała odwrócona plecami do Rossa. - Yale! Ja... Yale! Słyszysz mnie? - Trzymała słuchawkę przy uchu. Po chwili ją odłożyła. - Przerwali nam - powiedziała do Rossa.

- W tej części świata to normalne. Nigdy nie wiadomo, czy telefon będzie działał, czy nie. To samo jest z elektrycznością. I paroma innymi rzeczami.

- Dziękuję najuprzejmiej za słowa otuchy - powiedziała Diana ze stoickim spokojem.

- A więc twój przyjaciel nie wraca jutro do Manili?

- Zapewne usłyszałeś, że mam się z nim spotkać na wyspie Port Manya. W mieście Port Manya. Yale wszystko zorganizował.

Ross zobaczył, że kawałek zaschniętego błota oderwał się od jego buta i spadł na wytworny bladoniebieski dywan. Przyglądał się mu przez chwilę.

- Przedkłada interesy nad przyjemności? - spytał.

- Yale jest wiceprezesem korporacji - wyjaśniła szybko Diana. - To odpowiedzialne stanowisko. Nie może tak sobie rzucić wszystkiego i przyjechać po mnie.

- To znaczy, że dla niego liczą się interesy i tylko interesy.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz - powiedziała zaciskając usta.

- Nie bądź tego taka pewna - mruknął Ross. Wyciągnął nogi, opuścił je na ziemię i czubkiem buta przesunął grudkę błota.

- Ten facet jest głupi.

- Czy coś mówiłeś?

- Twój narzeczony jest cholernym idiotą. Jak może pozwolić na to, żeby taka kobieta, jak ty, podróżowała sama? Wynikną z tego kłopoty. Wielkie kłopoty.

Diana rozżłościła się nie na żarty.

- Panie St. Clair, jest pan antyfeministą.

Nazywano go gorzej. Znacznie gorzej.

Wepchnął butem zaschnięty kawałek błota pod łóżko. Podniósł głowę i popatrzył na Dianę.

- Nie powiedziałaś mu o włamaniu - stwierdził.

- Po co miałam go martwić? Przecież nie mógłby nic na to poradzić. - Bawiła się brzęczącymi maskotkami przyczepionymi do bransoletki. - A poza tym jestem przecież dorosła i potrafię o siebie zadbać.

- Jasne. - Ross o mało co nie roześmiał się jej w twarz. - Nie powiedziałaś mu także o mnie - dodał.

- Nie było o czym mówić. - Głos Diany stał się znów słodkiutki. Brzmiał miło i kulturalnie.

Ross miał wielką ochotę wziąć tę ładną, a zarazem piekielnie irytującą kobietę w ramiona i całować dopóty, dopóki nie straci ona przytomności umysłu.

Tylko że to raczej on straci przytomność umysłu.

Ale wtedy mógłby się przekonać, czy jest zimna tylko na wierzchu, a gorąca i słodka w środku. Czy jest lodową księżniczką, czy zmysłową kobietą. Jak smakuje? Co czuje? Jakby to było, gdyby się kochali w łóżku?

I nagle wyobraził sobie nagą Dianę Winsted, z długimi zgrabnymi nogami oplecionymi wokół jego ciała. Z przyciśniętymi do niego piersiami. Z włosami

rozsypanymi na obnażonych ramionach. Z jedwabistą i chłodną skórą przywierającą do jego rozgrzanego ciała. Z ustami lekko obrzmiałymi od pocałunków.

Dokonałyby szczegółowego rozpoznania. Zgłębiłyby wszystkie tajniki ciała tej dziewczyny. Poznałyby wszelkie jego zakamarki. Zanurzyłyby twarz w długich, miękkich włosach i wdychałyby ich zapach. Wszedłyby w nią głęboko. Do końca.

Ross aż jęknął głośno. Na te erotyczne myśli jego ciało zareagowało jednoznacznie. Poczul ucisk w podbrzuszu. Fizyczne podniecenie stało się widoczne.

Ani nie był to odpowiedni moment, ani nie było to odpowiednie miejsce. I, co gorsza, była to także nieodpowiednia kobieta. Jeśli go tak podniecała, oznaczało to, że widocznie już zbyt długo przebywał w tej części świata. Może nadszedł czas, by wracać do cywilizacji.

Lekkie dotknięcie kobiecej dłoni, które poczul na ramieniu, sprowadziło Rossa na ziemię.

- Czy dobrze się czujesz? - spytała Diana.

Zamrugał kilkakrotnie oczyma i mimo widocznych oznak podniecenia bez namysłu skłamał gładko:

- Świetnie.

- Chyba już skończyłam. - Rozejrzała się po idealnie uporządkowanym wnętrzu pokoju.

Ross z trudem pozbył się wizji jej nagiego ciała.

- Latałaś kiedyś Linią Azjatycką? - spytał, kiedy podchodzili do drzwi.

- Nigdy.

- Jej małe, nędzne samoloty skaczą jak pchły z wyspy na wyspę na Pacyfiku. Z czymś takim nie miałaś jeszcze nigdy do czynienia.

- Skąd wiesz? - spytała zaczepnie.

Wiedział. Taka kobieta, jak Diana Winsted, podróżowała zawsze luksusowymi środkami lokomocji. Rejs samolotem Linii Azjatyckiej nieco ją rozczaruje.

A zresztą, sama się o tym wkrótce przekona.

Wyciągnęła rękę do Rossa i grzecznym tonem powiedziała:

- Bardzo jestem wdzięczna za to, że zgodziłeś się przyjść tutaj ze mną. Wezmę pod uwagę twoje ostrzeżenia i wszystko, co mówiłeś o ludziach z plaży.

Ujął dłoń dziewczyny, lecz jej nie uściśnął.

- Uważaj na siebie, Diano.

- Dobrze.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam - odpowiedziała, uśmiechając się ciepło.

Po raz pierwszy zobaczył jej niewymuszony, naprawdę sympatyczny uśmiech i to przesądziło o wszystkim. A może nie. Nie był pewny. Ani teraz, ani nigdy później.

Zamiast puścić rękę Diany, Ross podniósł ją do ust. Chciał złożyć staroświecki pocałunek, lecz w ostatniej chwili się rozmyślił. Odwrócił rękę do góry i przesunął lekko wargami po otwartej dłoni. W tym momencie poczuł, jak Diana zadrżała. Poczował dreszcz, który nagle wstrząsnął jej ramionami i dotarł aż do kolan. Jej oczy pociemniały. Ross dostrzegł w nich niezwykle błysk. Żłoty ogień. A może nawet pożądanie, ogarniające ją jak płomień. W chwili jednak gdy próbował się zbliżyć, Diana szybko się cofnęła.

Przesłanie było oczywiste. Ręce precz. Zrozumiał to od razu.

Wychodząc powiedział:

- Zamknij za mną zasuwę i nie zapomnij założyć łańcucha.

Diana miała widoczne trudności z oddychaniem. Szepnęła:

- Dobrze, Rossie.

O cholera, dlaczego muszę stąd wychodzić? - pomyślał z niechęcią.

- Nie boisz się zostać sama? - jeszcze spytał.
  - Nie.
  - Włamywacze dysponują wytrychem.
  - Nie szkodzi. Nie mam przecież tego, czego szukają.
  - Racja.
  - Tak. Tym razem ja mam rację.
- Już dłużej nie mógł przeciągać tej rozmowy.
- Adios, Diano Winsted.
- Pożegnała go trzymając rękę na kłamce.
- Dobranoc, Rossie St. Clair.
- Zamknęły się za nim drzwi. Czekał jeszcze dopóty, dopóki nie usłyszał odgłosu zamykanej zasuw.

Wolno wracał do swego hotelu. Po przyjściu od razu rozebrał się i wszedł pod prysznic. Długo, bardzo długo stał pod silnym stumieniem wody. Spływała wzdłuż ciała, które go zdradziło i nad którym nie panował.

Zaczął wymyślać sobie od najgorszych.

Idiota.

Bałwan.

Kretyn.

Tępa pała.

Przecież Diana Winsted nie jest w jego typie. A i on nie jest dla niej odpowiednim mężczyzną. Do diabła, przecież dlatego właśnie porzucił cywilizowane życie, aby się uwolnić od takich kobiet.

No, to było niezupełnie tak.

Wyrzekł się cywilizowanego życia, aby zrzucić z siebie skórę człowieka, z którą się urodził i którą nosił. Po to, żeby się przekonać, czy bez dobrodziejstw płynących z rodowego nazwiska St. Clair będzie w stanie przetrwać. I żyć dalej bez wspierającej go rodzinnej fortuny.

Taka była prawda.

Stojąc pod prysznicem Ross energicznie szorował całe ciało. Przez sześć miesięcy tkwił w tym cholernym, prymitywnym obszarze świata. Te sześć miesięcy wydawało mu się czasami prawdziwą wiecznością. Całym życiem. Stał się twardszy, bezkompromisowy i mocniejszy. Nauczył się rozszyfrowywać innych ludzi, przynajmniej tak sądził.

Nie musiał się bardzo wysilać, aby stwierdzić, że pod szykowną fasadą Diany Winsted kryje się płycizna. Ta kobieta była głęboka jak sadzawka dla kaczek. W żadnym razie nie była w jego typie.

No to dlaczego nie jest w stanie ani na chwilę przestać o niej myśleć?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

To przez tego okropnego człowieka!

Rano Diana zasnęła, a wszystkiemu był winien Ross St. Clair. Pędziła teraz przez ogromne lotnisko Metro Manila, szukając kantoru Linii Azjatyckiej.

Wczoraj wieczorem po wyjściu Rossa nie mogła w ogóle zasnąć. Nie z obawy przed powrotem złodziei, gdyż była przekonana, że dadzą jej już spokój, lecz z całkiem innego powodu. Żegnając się Ross ucałował jej rękę. Zobaczyła wówczas w jego oczach rozbudzone nagle pożądanie i wiedziała, że jest ono odbiciem jej własnych, zmysłowych pragnień.

Nawet wtedy, kiedy usiłując zasnąć zamykała oczy, odczuwała niemal namacalnie dotyk jego warg i języka na swej szeroko rozpostartej dłoni. Na samą myśl o tych doznaniach zrobiło jej się dziwnie. Doświadczała mocnych, czysto zmysłowych wrażeń. Czuła się tak po raz pierwszy w życiu.

Dotyk jego ust był pieszczotą krótką, lecz niezwykle podniecającą. Chyba nigdy przedtem żaden mężczyzna w ten sposób jej nie całował. Ustami przesuwanymi po dłoni Ross rozbudził całe jej ciało. Sprawił, że nagle poczuła się w pełni kobietą, mającą świadomość bliskiej obecności mężczyzny. Jeszcze nigdy coś takiego Dianie się nie zdarzyło.

Nawet w obecności Yale'a.

W żadnym razie nie mogę zezwolić na to, postanowiła, żeby taka sytuacja, jak wczoraj, kiedykolwiek się powtórzyła. Wszelkie bliższe kontakty z mężczyzną pokroju Rossa St. Claira były nie do

pomyślenia. Od sześciu miesięcy Diana miała narzeczonego, a to, że przez niemal cały czas Yale był z dala od niej, przebywając w tej części świata, nie mogło mieć absolutnie żadnego znaczenia.

Oboje wszystko zaplanowali, z ogromnym wyprzedzeniem. Jesienią jednocześnie uzgodniono z księdzem termin ślubu w kościele i zarezerwowano sale ekskluzywnego klubu ziemiańskiego na uroczystości weselne.

Suknia ślubna, specjalnie dla niej zaprojektowana i uszyta, wisiała w szafie w rodzinnym domu w Grosse Pointe. Zaproszenia na ślub były wydrukowane, zaadresowane i przygotowane do wysłania. Wszystko już ustalono, co do najmniejszego szczegółu. Nic nie mogło się zmienić. Życie Diany było ułożone i takie miało pozostać.

Nie zobaczy więcej Rossa. Taką ma przynajmniej nadzieję. Poprzedniego wieczoru pożegnali się na progu pokoju hotelowego.

Nie miała pojęcia, gdzie się zatrzymał. Manila to ogromne, bardzo rozległe miasto. Nie wiedziała, ani skąd przybył, ani dokąd zamierza się udać. Nie знаła żadnych jego planów.

I dobrze. Dobrze, że nic o nim nie wiem, pomyślała Diana.

Tak będzie znacznie bezpieczniej. Ross St. Clair należał do typu mężczyzn zupełnie dla niej nieodpowiednich.

Coś jednak szeptało Dianie, że aby uwolnić się od myśli o tym mężczyźnie, ten ostatni argument nie jest wystarczający.

Człowiek ze stoiska Linii Azjatyckiej był zupełnie bezbarwny. Miał szare włosy, szarą skórę i równie szare ubranie. Trudno było ocenić nie tylko jego wiek, lecz także narodowość. Stał z papierosem



przylepionym w kącie ust do dolnej wargi. Mia przymrużone to oko, przy którym unosił się w górę szary dym z papierosa.

- Spóźniła się pani, pani Winsted - oświadczył, gdy Diana podbiegła do kontuaru.

- Wiem. Przepraszam. Nie mogłam tutaj trafić.  
- Nie zamierzała przyznawać się do tego, że zasnęła. Zresztą znalezienie na tym wielkim lotnisku jedyne wyjście, z którego odprawiano pasażerów samolotów Linii Azjatyckiej, zajęło jej trzy kwadranse.

- Wszyscy już są na pokładzie. - Mówiąc to urzędnik wręczył jej jakiś świstek, zapewne odcinek biletu.

- Oddam tylko bagaż i już z panem idę - powiedziała Diana odwracając się do stojącego za nią tragarza.

Agent Linii Azjatyckiej przypalił powoli nowego papierosa nie wyjmując z ust niedopałka, który nadal tkwił między jego poźółkłymi zębami.

- Nic z tego, paniusiu.

- Słucham?

- Nie przyjmę bagażu. Zabierze go paniusia z sobą.

Nikt w taki sposób dotychczas do Diany się nie zwracał. Bardzo jej się to nie podobało. Co więcej, nigdy i nigdzie nie musiała taszczyć swego bagażu.

- Dobry człowieku... - zaczęła, mimo że urzędnik Linii Azjatyckiej z pewnością na takie określenie nie zasługiwał. - Mam z sobą cztery duże walizy od Louisa Vuittona. Potrzebuję pomocy pańskiej i tragarza, żeby zanieść je do samolotu. - Starła się mówić pewnie i w sposób nie znoszący sprzeciwu.  
- Bagaż podręczny wezmę sama, a pan niech zajmie się z tragarzem resztą moich rzeczy.

Powiedziawszy to podniosła z ziemi małą torbę podróżną i zdecydowanym krokiem ruszyła ku wyjściu na płytę lotniska. Postanowiła nie odwracać głowy

i nie oglądać się za siebie. Jeśli się nie zawaha, obaj podążą za nią potulnie jak owieczki.

Wszyscy mężczyźni zawsze się tak zachowują, jeśli się nimi właściwie pokieruje.

Była przekonana, że agent i tragarz zajęli się jej bagażem. Wyszła na płytę lotniska i pewnym siebie krokiem zaczęła iść w stronę małego, dwusilnikowego samolotu z napisem „Linia Azjatycka”.

Wchodząc na pokład pokonała szczęśliwie chwiejne schodki, z których upadek groził w każdej chwili złamaniem karku lub co najmniej obcasów, i pochylając się dostała się do ciasnego wnętrza samolotu.

Pierwszą osobą, na której spoczął jej wzrok, był Ross St. Clair.

Na jego widok aż otworzyła usta ze zdumienia. Szybko jednak je zamknęła i zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Znalazła tylko jedno. Oczywiście, obok Rossa.

Usiadła z wyraźną niechęcią.

Przysięgła sobie, że go nie zapyta, skąd się tutaj wziął, ale nie wytrzymała. Przez zaciśnięte zęby wyszczała:

- Czyżby to był jeden z tych niewiarygodnych zbiegów okoliczności, które czasami się zdarzają?

Ross przesunął na tył głowy wygnieciony kapelusz i patrząc wprost przed siebie powiedział:

- Nic z tych rzeczy.

- A więc przyznajesz, że mnie śledzisz i włóczysz się za mną?

- Zgadza się - stwierdził z absolutnie obojętnym wyrazem twarzy.

Co za niesamowity tupet ma ten człowiek! Jak śmie zachowywać się tak bezczelnie! Warto byłoby kopnąć go w siedzenie. Na jedną ulotną, króciutką chwilkę wyobraziła sobie tę część ciała Rossa St. Claira. Nie przyodziają.

Błyskawicznie się otrząsnęła.

- Dlaczego to robisz? Za kogo ty się właściwie uważasz? - spytała ze złością.

Nie zastanawiał się ani przez chwilę. Powiedział pierwszą rzecz, która przyszła mu na myśl.

- Co powiesz na anioła stróża?

- W najmniejszym stopniu go nie przypominasz

- A ochroniarza?

Z westchnieniem zwróciła oczy ku górze.

- Piękne dzięki, ale obstawy nie potrzebuję. Sama o siebie zadbam.

- No to może występuję jako troskliwy przyjaciel?

- Przecież się prawie nie znamy. - Diana czuła się w obowiązku mu o tym przypomnieć.

W głębokim głosie Rossa była już teraz jawna kpina

- Wobec tego jako niepokojący się o ciebie nieznajomy?

- Tak. Tak. Teraz się zgadza - potwierdziła z westchnieniem.

- Co?

- Jesteś niepokojący i nieznajomy.

Wcale go tym nie uraziła. Wyglądało na to, że całą tą rozmową jest wręcz ubawiony. Odchylił głowę w tył i głośno się roześmiał. Musiała przyznać, że śmiech ma bardzo sympatyczny.

- A więc wygląda na to, że muszę się z tym pogodzić - stwierdziła po dłuższym zastanowieniu.

- Gdy tylko znajdziesz się bezpieczna w ramionach swego faceta, najbliższym samolotem wyjadę natychmiast z miasta.

- Naprawdę?

- Tak.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam. - Ross podniósł w górę palec. - Na honor skauta.

Nadal mu nie dowierzała. Popatrzyła pytającym wzrokiem.

- A czy byłeś kiedyś skautem?

Ściągnął z głowy zdeformowany kapelusz, założył nogę na nogę i zawiesił go sobie na kolanie.

- Aha - mruknął, a po chwili dodał: - Zdziwiłabyś się, gdybyś się dowiedziała, kim jeszcze byłem.

- Powiedz raczej, że bym się przeraziła. To określenie bardziej adekwatne.

Wyrzął najpierw przez okno, a następnie odwrócił się w stronę Diany i ujął jej rękę.

- Zobaczysz, nie pożałujesz, że jestem z tobą.

- Już żałuję - odrzekła wyrywając się szybko.

- Oj, Diano, daj z tym wreszcie spokój. - Tego ranka był wyraźnie bardziej rozmowny. - Na dobre czy na złe, los rzucił nas sobie w objęcia. Musimy to wykorzystać najlepiej jak można.

W tej chwili zobaczyli, jak pracownik Linii Azjatyckiej wraz z tragarzem wnoszą do samolotu wielkie walizy Diany.

Agatowe oczy Rossa zabłyśły wesoło.

- Widzę, że jak zawsze podróżujesz z niewielkim bagażem.

- Nie wiem, jak długo zostanę w Port Manya - zaczęła tłumaczyć się Diana. - Lubię być przygotowana na wszelkie okoliczności.

- Masz rację. Ja też lubię. Moje motto brzmi: bądź zawsze gotów.

Diana mogłaby się założyć o każde pieniądze, że to święta prawda.

Zachciało się jej pić. Miała ochotę na kawę. Bardzo mocną i bardzo gorącą. Z rozkoszą zjadłaby także croissant podgrzanego w piecyku i posmarowanego morelowym dżemem. Ślinka pociekła jej z ust.

- Czy w tym samolocie jest jakaś obsługa pasażerów?

- Nie.

Westchnęła ciężko. Żołądek zaczął gwałtownie domagać się pokarmu. Na śniadanie w hotelu nie starczyło jej czasu.

- Czy dadzą coś do jedzenia lub picia?

Ross poprawił się na fotelu.

- Mało prawdopodobne.

Powinna była się tego spodziewać.

- O której ten samolot wylądaje na Port Manya?

- Wtedy, kiedy przyjdzie na to pora - odpowiedział ze stoickim spokojem.

Diana rozłożyła ręce w bezradnym geście.

- Czy to nie jest regularny lot?

Ross przyjrzał się jej uważnie.

- W tej części świata, w której jesteśmy, obowiązują szczególne zasady. Jedna z nich mówi, że na miejsce przeznaczenia dotrzesz wtedy, kiedy tam się znajdziesz. Ani wcześniej, ani później.

To wyjaśnienie wyraźnie nie spodobało się Dianie.

- Gdy nasz agent ulokuje wreszcie moje rzeczy w samolocie, wówczas zapytam go, o której będziemy na miejscu.

- Agent?

- Tak. Ten urzędnik Linii Azjatyckiej, od którego na lotnisku odebrałam bilet. Jest jeszcze tutaj. Pomógł mi przynieść bagaże.

Ross skrzywił się lekko.

- To nie agent. To pilot.

Kiedy znaleźli się w powietrzu i lecieli wysoko nad niebieskimi, bezkresnymi wodami oceanu, gęsto poznaczonymi zielonymi wyspami o różnych rozmiarach i kształtach, Ross zrobił Dianie propozycję, która była nie do odrzucenia.

Ze swego płóciennego, zniszczonego plecaka wyjął termos i zapytał:

- Czy masz ochotę napić się ze mną kawy?  
- Kawy? Prawdziwej kawy?  
- Prawdziwej. Przed odlotem poprosiłem w jednej z restauracji na lotnisku, żeby mi jej nalali do termosu - wyjaśnił.

- Aby zdobyć filiżankę kawy, byłabym w tej chwili gotowa popełnić morderstwo - jęknęła Diana.

- Dobrze, że mnie w porę uprzedziłaś. - Ross odkręcił termos i do zdjętego zeń kubka nalał solidną porcję gorącego, aromatycznego płynu. - Proszę. Wobec tego pij pierwsza.

- Przecież to twoja kawa. Nie powinnam cię jej pozbawiać - protestowała niepewnie.

- Nie krępuj się, pij. - Włożył jej kubek do ręki.

- Bardzo ci dziękuję. - Wypiła jeden łyk, odchyliła w tył głowę i z zadowoleniem westchnęła. - Nie zdążyłam nic wypić w hotelu. Zasnęłam.

W tym momencie Diana zorientowała się, że mówiąc to palnęła głupstwo.

Agatowe oczy Rossa natychmiast się zwęziły.

- Nie mogłaś spać?

Wzruszyła ramionami.

- To była chyba opóźniona reakcja na lot odrzutowcem.

- Być może.

- Jeszcze raz dziękuję ci za kawę.

- Nie ma za co.

Diana zobaczyła, że Ross przygląda się zaręczynowemu pierścionkowi, który miała na ręku. Połyskiwał w nim imponującej wielkości diament.

- Niezły kamyk - powiedział.

- Tak. Ładny.

- Prawdziwy?

- Oczywiście, że prawdziwy. - Ten człowiek był wręcz niemożliwy!

Spojrzała na Dianę ponownie z nieco kpiącym wyrazem twarzy.

- Tam, dokąd lecimy, słoneczko, nie powinnaś obnosić się z takim diamentem. Jeszcze jakiś złodziej złapie cię i odrabie ten śliczny paluszek, żeby zdobyć kamień. Lepiej zdejmij pierścionek i głęboko go schowaj.

Poczuła, że robi się jej niedobrze. Mimo to jednak przekręciła na palcu pierścionek, tak aby diament znalazł się od strony dłoni. Ostry kamień urzązał delikatną skórę, ale nie dała tego po sobie poznać. Siłąc się na spokoj powiedziała:

- Robię tak często w Stanach, gdy uważam, że noszenie pierścionka może być niebezpieczne. Nie jestem dzieckiem.

Ross nie odrywał wzroku od jej ręki.

- Teraz wygląda zupełnie jak obrączka. - Skrzywił się lekko.

- Prawda? - przyznała patrząc na wierzchnią część dłoni.

- Czy ustaliłaś już z przyjacielem datę waszego ślubu?

- Tak.

- Kiedy ma nastąpić ta uroczysta chwila? - zapytał jakby od niechcenia.

- W drugą sobotę września.

Słyszając to podniósł lekko brwi.

- Wyglądasz mi raczej na tradycyjną pannę młodą, a te biorą śluby w czerwcu.

- Rzeczywiście planowaliśmy początkowo pobrać się właśnie w tym miesiącu, ale awans Yale'a sprawił, że będzie miał wówczas wiele obowiązków zawodowych. Dlatego zdecydowaliśmy się na późniejszy termin.

- Jeszcze jedno potwierdzenie, że dla tego twojego faceta Uczy się interes i tylko interes - cierpko skomentował.

- Już ci mówiłam, że nie sędzę, abys był w stanie w ogóle to zrozumieć.

Diana nie chciała być niegrzeczna, ale co taki mężczyzna, jak Ross, może wiedzieć o jakichkolwiek zobowiązaniach i odpowiedzialności? Co może wiedzieć o ważnych decyzjach dotyczących setek, a może nawet tysięcy ludzi, które Yale musi codziennie podejmować?

Towarzysz podróży spojrzął na nią spod oka.

- Czeką nas długi i meczący dzień. Proponuję, żebyśmy się teraz zdrzemnęli. - Nasadził wymięty kapelusz z powrotem na głowę tak, że mu zakrywał połowę twarzy.

Dianie wydawało się, że natychmiast usnął. Oparła głowę i zamknęła oczy. Była zmęczona. Ross miał rację. Ma przed sobą długi dzień.

Budziła się powoli.

Najpierw do uszu Diany dotarł głośny szum silników, a potem poczuła na twarzy orzeźwiający strumień powietrza płynącego z wentylatorka umieszczonego nad głową. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, zobaczyła, że w kabinie samolotu kładą się podłużne cienie.

Było późne popołudnie.

Diana odwróciła głowę i napotkała wzrok Rossa St. Claira, który przyglądał się jej.

- Czy długo spałam? - spytała.

- Parę godzin.

Wyprostowała się na siedzeniu, sięgnęła ręką do pleców, żeby rozetrzeć zdrętwiały kark, i wyjrzała przez okno samolotu. Zobaczyła niebieskie niebo, równie niebieskie morze i rozrzucone na nim zielone wyspy. Wszystko było jak przedtem, tylko pora dnia się zmieniła.

- Gdzie jesteśmy?

Ross wzruszył ramionami.



- Nie wiem dokładnie. Gdzieś nad Pacyfikiem. Sądzę, że za jakąś godzinę znajdziemy się nad Port Manya.

Diana zdała sobie nagle sprawę z tego, że oprócz ich obojga w kabinie samolotu nie ma nikogo.

- Co stało się z resztą pasażerów?

- Wysiedli podczas ostatniego postoju.

- Samolot schodził na ziemię?

- Musiał po drodze zatankować paliwo - wyjaśnił cierpliwie Ross. - Przespałaś lądowanie i start.

- A lunch? - spytała szybko, czując niepokojące ssanie w żołądku.

Pochylił się i sięgnął do plecaka.

- Trochę ci zostawiłem.

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Zdumiewające. Jak mogłam tak przespać cały lot? Widocznie byłam wykończona.

- To z pewnością opóźniona reakcja na podróż odrzutowcem. Czasami tak bywa.

- Czy na Port Manya zdążymy dotrzeć jeszcze przed zmrokiem?

- Możliwe, że lądowisko na wyspie nie ma w ogóle oświetlenia - mruknął w odpowiedzi.

- To znaczy, że musimy wylądować jeszcze za dnia, tak żeby pilot mógł widzieć, co robi?

Ross potarł szczękę.

- Tak. Dokładnie tak.

Diana lekko westchnęła.

- Czy byłeś już kiedyś na Port Manya?

- Nie, ale widziałem wiele podobnych wysp na Pacyfiku. To ogromny ocean.

- Ogromny. - Diana zamilkła na chwilę, po czym dotknęła ręką ramienia siedzącego obok mężczyzny i lekko ochryplym głosem zwróciła się do niego:

- Dziękuję ci bardzo.

- Za co? - zapytał zdziwiony.

- Za to, że mnie pilnowałeś, kiedy spałam.
- Drobiazg.

Nie miał racji. To nie był żaden drobiazg. To było coś znacznie więcej. Gdyby nie zdecydował wybrać się w tę podróż, gdzie ta dziewczyna znajdowałaby się teraz?

Odpowiedź była oczywista: Diana tkwiłaby samotnie w kabinie małego, nędznego samolotu podążającego w kierunku jakiejś małej, nędznej wyspy. Zawieszona w przestworzach.

Spojrzała na Rossa i napotkała parę agatowych oczu przyglądających się jej z uwagą.

Wprawdzie trochę nieokrzesany i nieobyty, był jednak dżentelmenem.

Zanim w ogóle pomyślała, czy to dobry pomysł, nachyliła się w jego stronę, dotknęła lekko szorstkiej skóry policzka i szeptem powtórzyła:

- Dziękuję za opiekę i troskliwość, rodaku.

Gdy chciała odchylić z powrotem głowę, poczuła na karku rękę Rossa. Nie wykonał żadnego następnego ruchu. Czekał spokojnie, żeby się przekonać, co dziewczyna teraz robi.

W końcu zwyciężyła ciekawość. Diana przypomniała sobie poprzedni wieczór, swą gwałtowną reakcję na delikatną pieszczotę Rossa.

A jak by smakował prawdziwy pocałunek tego mężczyzny?

Ta myśl wyraźnie ją poruszyła.

Pokusa była ogromna. Za sekundę Diana mogła poznać odpowiedź na to pytanie. Wystarczy tylko odwrócić twarz w stronę Rossa, a ich usta znajdą się tuż obok siebie.

Zrobiła ten mały, prawie niezauważalny ruch w jego stronę. I ich wargi się spotkały.

Diana sądziła zawsze, że całowanie się z mężczyzną jest rzeczą całkiem sympatyczną, nigdy jednak nie

stanowiło dla niej szczególnej przyjemności. Zarówno w szkole, jak i w college'u, zyskała miano lodowej księżniczki nie tylko z powodu wyniosłego i nieprzyjemnego zachowania się, lecz także chłodnej urody. Całe jej otoczenie było przekonane, że ma serce z kamienia. Były to błędne domysły. Żeby zbliżyć się do ludzi, Diana potrzebowała tylko więcej czasu niż inni. Jej serce rozgrzewało się powoli.

Kłamstwo. Zwykłe kłamstwo.

Zaledwie Ross St. Clair dotknął ustami jej rozchylonych warg, Dianę ogarnął płomień. Miała nadal chłodną w dotyku skórę, lecz w jej wnętrzu rozgorzał prawdziwy ogień.

Zaskoczyło ją to. Przestraszyła się, ale próbowała się oprzeć narastającej panice. Pocałowała tego mężczyznę tylko dla kaprysu, lecz to spowodowało natychmiastową reakcję łańcuchową, której nie przewidziała. Czuła, że wpadła w tarapaty. W duże tarapaty.

- Słuchaj... - zaczęła.
- A wiec u ciebie także zwyciężyła ciekawość?
- przerwał jej Ross, pieszcząc nadal wargami rozchylone usta dziewczyny.
- Także?
- Nie mogłem spać dzisiejszej nocy - przyznał.
- Zastanawiałem się, jak smakują twoje pocałunki.
- To czyste szaleństwo.
- Tak. Wiem.
- Nie powinniśmy tego robić.
- Chyba nie.
- Jesteśmy dla siebie zupełnie nieodpowiedni.
- Masz absolutną rację.
- Musimy przestać.
- Przestaniemy.

Ale tego nie uczynili.

Palce Diany zacisnęły się mocno na szyi Rossa.

Rękoma otoczył jej talię. Rozchyliła ponownie wargi, a on ssał je, miażdżył pocałunkami, przygryzał zębami i wsuwając język pieścił coraz mocniej. Diana miała ochotę płakać z radości, a zarazem ze smutku. Cieszyła się, bo było jej cudownie, a martwiła dlatego, że całował ją nieodpowiedni mężczyzna. A wszystko to działo się w nieodpowiednim czasie i miejscu.

W końcu udało się jej wykrztusić:

- Proszę cię...

- O co prosisz? - spytał pieszcząc równocześnie wargami rozpaloną skórę Diany.

- Proszę cię, przestań.

Znieruchomiał. Bez słowa popatrzył na dziewczynę.

- Przepraszam. Nie powinnam cię całować. To był błąd.

Zobaczyła, jak nagle gasną ogniki płonące w jego agatowych oczach. Po chwili miała przed sobą już tylko dwie maleńkie tarcze z twardego, różnobarwnego kamienia.

Zesztywniała mu twarz, na policzkach napięła się skóra.

- To był też mój błąd - powiedział.

Dziewczyna wyglądała na wstrząśniętą.

- Tak mi przykro, Rossie, że to się stało.

- Mnie też, Diano. Mnie też.

Spojrzała niechętnie w oczy mężczyzny.

- Nie wiem naprawdę, co powiedzieć.

- Nie ma o czym mówić. Po prostu trochę się zagalopowaliśmy. Nie przejmuj się. To się zdarza.

- Ale nie mnie - powiedziała szybko. - Mnie się nic takiego nie zdarza - powtórzyła pewnym siebie głosem.

I nagle, z ostrym bólem w okolicy serca, Diana pomyślała: a co będzie, jeśli nic takiego już nigdy się nie powtórzy?

- Z pewnością ci się zdarza - oświadczył Ross.

- Jesteś tylko człowiekiem.

Gdyby tylko wiedział. Ach, gdyby tylko wiedział. Ale nigdy się nie dowie, czym był dla niej jego pocałunek.

Diana przycisnęła rękę do piersi.

- Chyba nadal cierpię na opóźnioną reakcję na lot odrzutowcem.

- Tak, to z pewnością opóźniona reakcja na lot odrzutowcem. - Wyjrzał przez okno samolotu. - Coś mi się zdaje - powiedział - że właśnie lądujemy na Port Manya.

Diana szybko przygładziła włosy. Niesforne kosmyki zwisające wokół twarzy zatknęła za uszy. Próbowwała się uspokoić. Udawała, że nie dostrzega, jak bardzo drżą jej ręce.

Spojrzała przez okno znajdujące się po drugiej stronie foteli. Serce podeszło do gardła.

- Rossie, przecież tu jest tylko dżungla! - wykrzyknęła.

Odpowiedział spokojnym głosem.

- Tak, kochanie. Tu jest tylko dżungla.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Musi cofnąć to wszystko, co kiedykolwiek pomyślała i powiedziała dobrego o tym człowieku. Ross St. Clair nie jest dżentelmenem.

- Poczekaj! - zawołała, gdy wysiadł z samolotu i zaczął oddalać się od miejsca, w którym wylądowali.

Zatrzymał się i odwrócił głowę. Na twarzy miał duże, ciemne okulary. Z barczystego ramienia zwiisał płócienny plecak.

- O co chodzi?

Stała przy swoich bagażach, które pilot samolotu Linii Azjatyckiej wyniósł z pokładu i rzucił bezceremonialnie na trawę rosnącą obok betonowego pasa.

- Potrzebna mi twoja pomoc.

Ross zdjął okulary i wsunął je do kieszeni koszuli koloru khaki.

- Pomoc?

Zacisnęła zęby. Ten człowiek zachowuje się jak ostatni tępak.

- Tak. Pomoc - powtórzyła.

- Do czego?

Nie miała już żadnych wątpliwości. Ross St. Clair postanowił maksymalnie utrudniać jej życie. Powinna była od razu wiedzieć, że weźmie na niej odwet.

Przeniosła ciężar ciała z jednego wysokiego obcasa na drugi i poprawiła pasek od torebki.

- Pomóż mi zabrać walizki.

Miał czelność roześmiać się jej prosto w twarz.

- A czy ja, do licha, wyglądam na portiera hotelowego?

- Rossie...

- Musisz, Diano, nauczyć się jeszcze jednej ważnej rzeczy.

- Doskonale - mruknęła pod nosem. - Będzie to z pewnością zasada numer dwa.

- Zabieraj zawsze z sobą tylko tyle, ile zdołasz unieść.

Wzięła się pod boki i spojrzała na niego ze złością.

- Czy nie za późno na taką radę, panie St. Clair?

- Na dobre rady nigdy nie jest za późno, pani Winsted. - Dianie wydawało się, że Ross śmieje się pod nosem.

- Sama sobie nie poradzę.

- Weź tylko to, co najpotrzebniejsze. Reszta niech tutaj zostanie - poradził.

- Nie mogę przecież tak porzucić moich rzeczy w środku dżungli.

Ten mężczyzna był naprawdę nienormalny.

Wzruszył ramionami.

- O ile zdołałem się zorientować, do miasta Port Manya masz stąd niecałe dwa kilometry. Trzeba iść drogą w tym kierunku - wskazał ręką na wschód. - Jest tam jeden hotel. Powinnaś trafić bez kłopotu. I na twoim miejscu od razu bym się zbierał, bo za pół godziny zrobi się zupełnie ciemno.

Na pewno nie zostawi jej samej. Nie może, po tym, jak bardzo był dla niej miły w samolocie. Poczęstował własną kawą, czuwał nad nią, gdy spała, a nawet podzielił się jedzeniem.

Coś jednak szeptano jej do ucha, że Ross St. Clair to chytra sztuka. Zrobiła błąd. Nie powinna go całować. To był początek wszystkich kłopotów.

Tak naprawdę wszystko zaczęło się wczoraj po południu, gdy zaczepił ją na lotnisku Metro Manila. A zresztą czy to nie wszystko jedno?

Diana patrzyła za odchodzącym. Postanowiła stać

spokojnie na miejscu. Była pewna, że Ross zaraz po nią wróci, że chce tylko dać jej nauczkę.

- Rossie, proszę... - zawołała.

Na dźwięk jej głosu zatrzymał się, kopnął ze złością kamień leżący przy drodze i zaczął kłać. Robił to płynnie, w kilku językach.

Wiedziała, że jest wściekły na nią, na siebie, a także na całą tę cholerną sytuację, w której się znaleźli.

Odwrócił się w jej stronę i zawołał:

- Zostań tam. Zaraz wracam.

Zobaczyła, że idzie w stronę pobliskiego pola. Pracował tam mały, może dziesięcioletni chłopiec, który na wózek zaprzężony w parę wołów ładował niedawno ściętą trzinę cukrową.

Ross podszedł do chłopca i zaczął coś mu mówić, wskazując przy tym na Dianę. Wyjął z kieszeni kilka monet i podał je małemu. Z roześmianym dzieciakiem wracał teraz w stronę młodej kobiety.

- To jest Pablo. Zawiezie twoje walizki do miasta. Dałem mu kilka pesos jako zadatek i obiecałem, że ładna pani szcudrze zapłaci, gdy jej bagaże, nie uszkodzone i czyste, dotrą do hotelu.

Zwróciła się do chłopca:

- Do hotelu Paraiso?

Chłopiec skinął nieśmiało głową i powtórzył:

- Hotel Paraiso.

Uśmiechnęła się do niego. Miała ochotę zmierzić ręką jego ciemną czuprynę.

- Dziękuję ci, Pablo.

Wraz z Rossem załadował na prymitywny, brudny wózek cztery eleganckie walizy od Louisa Vuittona.

Ross poklepał chłopca po ramieniu.

- *Salamat*, Pablo - powiedział do niego.

- Co mówiłeś? - spytała Diana, kiedy zaczęli iść w stronę miasta. Chłopiec z wózkiem zaprzężonym w woły jechał w sporej odległości za nimi.



- Po tagalsku „dziękuję”.

Spojrzała na niego kątem oka.

- *Salamat*, Rossie.

- *Walang anoman* - odpowiedział. - Nie ma za co.

Po przejściu kilkuset metrów Diana zaczęła żałować, że nie wzięła z sobą wygodniejszych butów lub przynajmniej pary adidasów. Oczywiście, przed wyjazdem do tej części świata nie przyszło jej w ogóle do głowy, że będzie musiała wlec się wąskim traktem wyciętym przez tubylców w gęstej dżungli, ubrana w kosztowne włoskie pantofelki na wysokich obcasach i w równie wytworny, jeszcze droższy kostium.

Westchnęła. Co właściwie robi na tej odległej wyspie znajdującej się pośrodku Pacyfiku? Dlaczego Yale ściągnął ją tutaj? I gdzie sam się teraz znajduje?

Zupełnie inaczej wyobrażała sobie spotkanie z narzeczoną. Była przekonana, że spotkają się w Manili i w luksusowej restauracji hotelowej zjedzą wyborną kolację przy świecach, z szampanem i kwiatami. Yale będzie miał na sobie nieskazitelnie skrojony garnitur, a ona wystąpi w ulubionej sukience koktajlowej, którą z sobą przywiozła.

Zamiast tego, wlokła się teraz w kurzu wąskim, wyboistym traktem z dziurami o rozmiarach kraterów. Była zgrzana i zmęczona. Spragniona i głodna. Czuła, jak pot zaczyna spływać jej po plecach. Ubranie i bielizna przylepiły się do ciała. Potargane włosy w postaci wilgotnych kosmyków zwisały po obu stronach twarzy. Potwornie bolały ją stopy.

Od milczącego mężczyzny, który szedł obok, nie mogła spodziewać się ani odrobiny współczucia.

Kiedy znaleźli się wreszcie na skraju zabudowań, zrobiło się prawie ciemno.

Diana przesuwiała wzrokiem po nędznych domach pokrytych zardzewiałą blachą. Na nie wybrukowanych ulicach było pełno nagich, rozkrzyczanych dzieci,

z piskiem uciekających przed nimi kurczaków i szczekających psów.

- To nie może być Port Manya! - zawołała słabym głosem. - To nieprawdopodobne.

Modliła się teraz, żeby rzeczywiście byli w błędzie i zaszli nie tam, gdzie trzeba.

- O żadnej pomyłce nie może być mowy. Jesteśmy w Port Manya - oświadczył Ross. Zobaczył budynek przypominający hotel i skierował kroki w tamtą stronę.

Zaszokowana Diana podążała za nim, przechodząc obok szeregu nędznych bud sklepowych ciągnących się wzdłuż głównej ulicy.

- Co Yale może robić w tej zapadłej dziurze? - spytała na głos.

- Zabij mnie, nie mam pojęcia. Ty powinnaś wiedzieć lepiej, przecież to twój chłopak - odrzekł Ross i zaraz się poprawił: - Przepraszam cię bardzo, powinienem powiedzieć narzeczony.

Stanął przed jednym z domów i zaczął odczytywać tabliczkę widniejącą na drzwiach wejściowych.

- Hotel Paraiso - przeczytał głośno. - Czyli hotel Raj. A więc jesteśmy na miejscu - oświadczył. - Wejść do środka i spróbuję dowiedzieć się czegoś o Grimmerze. Zostań lepiej na zewnątrz, o tutaj, na werandzie, i poczekaj na Pabla i resztę bagażu.

- Dobrze. Zostanę. - Z drewnianej ławy Diana usiłowała zetrzeć kurz i jeszcze jakieś ślady, które okazały się kurzymi kupkami. Dała wreszcie spokój i przycupnęła na samym brzegu siedzenia.

Mimo że było już niemal ciemno, krzyzące dzieciaki bawiły się nadal. W kurzu kopały teraz zardzewiałą puszkę. Co chwila docierały do Diany głośne wybuchy ich wesołego śmiechu. Goniły się i biegały po ulicy, nieświadome otaczającego je brudu i nędzy, w której przyszło im żyć.

Było gorąco. Zaczęła wachlować się torebką.

- A więc tak wygląda Port Manya - powiedziała półgłosem do siebie.

W tym momencie przyszedł jej na myśl napis umieszczony na dużej tablicy informacyjnej, który kiedyś ujrzała przy zjeździe z autostrady na drogę wiodącą do małego, malowniczego miasteczka w stanie Michigan: Odwiedź je. Jest naprawdę ładne.

Już na pierwszy rzut oka to, co zobaczył po wejściu do hotelu Paraiso, przypomniało Rossowi scenę jak żywcem wziętą ze słynnego filmu „Casablanca” z Ingrid Bergman i Humphreym Bogartem. Zauważył tylko dwie, niewielkie różnice: w hotelu Paraiso fortepian był rozstrojony, a stojąca obok dziewczyna fałszywie śpiewała sopranem.

Podszedł do baru, który służył równocześnie za recepcję hotelową. Obok starej metalowej kasy leżała księga gości, o pożółkłych, wygniecionych kartach, pamiętająca jeszcze czasy sprzed drugiej wojny światowej. Na końcu łańcuszka przyczepionego do księgi zwiślał już dawno zużyty długopis.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał mężczyzna znajdujący się za kontuarem. Wycierał właśnie powierzchnię zniszczonej, drewnianej lady, na której nie pozostał nawet ślad po dawnej politurze.

Ross dotknął ręką kapelusza.

- Szukam kogoś - powiedział krótko.

- Wszyscy zawsze szukamy kogoś lub czegoś - stwierdził filozoficznie barman, obdarzając gościa enigmatycznym uśmiechem.

Ross potarł kark.

- Pewnie ma pan rację. Ale ja szukam konkretnego człowieka. Czy tu mieszka facet o nazwisku Grimmer?

Ciemne oczy mieszkańca wyspy lekko się zwęziły.

- To pański przyjaciel?

- Niezupełnie. Nie.
- Robicie wspólnie interesy?

Ross potrząsnął głową.

- Po prostu go szukam. To sprawa... osobista.

Odpowiedź mężczyzny za kontuarem brzmiała wymijająco:

- Ten Grimmer, o którego panu chodzi, mógł się tu zatrzymać, albo i nie.

Ross sięgnął do kieszeni i wyciągnął dziesięciodolarowy banknot. Położył go na ladzie.

- Chciałbym się czegoś napić.

Wzrok barmana wyraźnie się ożywił.

- Whisky?
- Może być.

Mężczyzna wyciągnął spod lady podejrzenie wyglądającą butelkę bez żadnej nalepki i do małej szklanki nalał porcję żółtawego płynu. Postawił szklankę przed Rossem.

Dziesięciodolarowy banknot, przesunięty po ladzie, znalazł się w zasięgu ręki barmana.

- Płacę - powiedział Ross. - Reszta dla pana.

Podniósł szklankę do ust i jednym haustem wypił całą jej zawartość. Domowej roboty alkohol palił jak ogień. Wycisnął Rossowi łzy z oczu.

- Czy Grimmer tu mieszka? - ponowił pytanie.

- Facet o tym nazwisku jest zameldowany - odpowiedział barman, szybkim ruchem zgarniając banknot do kieszeni. - Przyjechał wczoraj. Ale od chwili, w której się zgłosił, więcej go nie widziałem.

- Dlaczego?

- Pytał, gdzie można wynająć łódź. Podałem mu nazwisko rybaka mieszkającego po drugiej stronie wyspy. Zaraz potem wyszedł z hotelu i od tamtej pory się nie pokazał. - Barman nadal wycierał powierzchnię kontuaru. - Ten Grimmer to musi być znany facet. Już go tutaj dzisiaj szukali.

- Kto? - spytał Ross. Był zdziwiony.
- Jacyś dwaj mężczyźni.
- Z wysp? Miejscowi?
- Nie. Obcy.
- Jak wyglądali?

Barman cierpiał widocznie na szczególnego rodzaju amnezję, gdyż odpowiedział:

- Jak obcy.

Po obu stronach lady zapadło milczenie.

Ross wyciągnął z kieszeni następną dziesiątkę i przesunął ją w kierunku barmana.

- Proszę jeszcze jedną whisky - powiedział.

Po chwili znalazła się przed nim pełna szklanka.

Równocześnie nastąpił cud, bo człowiek za ladą odzyskał nagle pamięć.

- To byli postawni mężczyźni. O, tacy. - Podniósł rękę i pokazał gdzieś wysoko nad głową. - Dobrze zbudowani. Silni. Mieli zimne i szkliste oczy jak u nieżywej ryby. Na bokach odstawały im koszule. Chyba mieli przy sobie broń.

- Simonie Ha, ty stary diable, znów handlujesz informacjami! - Za plecami Rossa rozległ się nagle donośny głos.

Obejrzał się i zobaczył mężczyznę stojącego w obrotowych drzwiach hotelu.

Nowo przybyły miał na sobie wyblakły mundur z naszywką na rękawie. Wyglądała na odznakę urzędową. Wolnym krokiem podszedł do baru i zwrócił się wprost do Rossa:

- Doszły mnie słuchy, że przybyli do nas obcy ludzie. Port Manya stało się bardzo popularne. Od dwóch dni panuje tutaj duży ruch.

- Na to wygląda - powiedział ostrożnie Ross.

Mężczyzna w mundurze obrzucił go krótkim, lecz uważnym spojrzeniem.

- Sierżant Charoon Bok - przedstawił się Rossowi.

- Jestem szefem policji na wyspie, a zarazem miejscowym fryzjerem. A ten diabeł za kontuarem to Simon Ha, właściciel hotelu Paraiso i członek starszyny miasta.

- Nazywam się Ross St. Clair.

- Amerykanin?

- Tak.

- Był pan niedawno na wyspie Santo Tomas - oświadczył szef policji.

Ross uniósł brwi.

- Widzę, że wiadomości szybko się rozchodzą.

- Cioteczny dziadek mojej żony mieszka na Santo Tomas. To bardzo stary człowiek. Nazywa się Cebu - wyjaśnił sierżant Bok.

Ross wyraźnie się rozluźnił i głośno roześmiał.

- Znam go dobrze.

Szef policji na Port Manya ścisnął teraz mocno i serdecznie rękę gościa.

- Dokonał pan tam wspaniałego dzieła! Budując studnię w miasteczku, w którym mieszka Cebu, uratował pan życie ludziom na wyspie Santo Tomas.

- To duża przesada. Nie ma o czym mówić - odrzekł skromnie Ross.

- Simonie Ha, ten oto mężczyzna - sierżant Bok wskazał St. Claira - stał się wybawcą mieszkańców miasteczka, w którym żyje cioteczny dziadek mojej żony. Powiedział im, gdzie i w jaki sposób powinni kopać studnię. Dzięki niemu mają teraz tyle zdrowej wody, ile im potrzeba.

- Oooo - rzekł z uznaniem Simon. Przemowa sierżanta zrobiła na nim duże wrażenie.

- Witamy pana serdecznie w mieście Port Manya - oświadczył szef policji, a zarazem miejscowy fryzjer. - Jeśli ma pan jakieś życzenia, proszę nam powiedzieć. Będziemy szczęśliwi mogąc panu pomóc.

- Dziękuję bardzo, sierżancie Bok.

- Podobno szuka pan mężczyzny o nazwisku Grimmer.

- Tak - przyznał Ross. - W Port Manya wiadomości rzeczywiście błyskawicznie się rozchodzą!

- Postaram się panu pomóc. Popytam dyskretnie tu i ówdzie. Na razie jednak muszę wsiadać na rower i jechać na drugi koniec wyspy. To mój służbowy obowiązek. Mamy tam małe kłopoty. Wracam jutro wieczorem.

- Jeśli do tej pory Grimmer się nie pojawi, będę chciał z panem porozmawiać - oświadczył Ross.

- Czy potrzebny panu pokój? - Do rozmowy włączył się Simon Ha.

Ross zupełnie o tym zapomniał.

- Oczywiście. Tak.

- A ta ładna amerykańska dama, którą widziałem przed wejściem do hotelu - spytał sierżant Bok - czy to pańska... siostra?

Ross rzucił okiem w stronę obrotowych drzwi hotelu Paraiso.

- Nie - odpowiedział. - To jest moja... żona.

Słowo się rzekło. Odwrotu nie było. Ross St. Clair brnął dalej:

- Dopiero się pobraliśmy.

- Wobec tego dostanie pan apartament dla nowożeńców. To nasz najlepszy pokój w hotelu - oświadczył z dumą Simon Ha, obdarzając Rossa jeszcze jednym ze swych enigmatycznych uśmiechów.

Gość sięgnął do kieszeni.

- Ile jestem panu winien?

- Za pokój już pan zapłacił - odezwał się Charoon Bok. - Prawda, Simonie?

- W samej rzeczy - odpowiedział właściciel hotelu, równocześnie potakując głową. - W samej rzeczy. Proszę, oto klucz. Apartament dla nowożeńców jest na piętrze. Ostatnie drzwi po prawej stronie.

- Jeszcze nic nie jedliśmy. Czy można tu gdzieś dostać jakąś kolację?

- Moja żona wraz z córkami właśnie przygotowuje wieczorny posiłek. Możecie więc zjeść w hotelu. A Lola dla was zaśpiewa.

Słyszając to, dziewczyna siedząca w drugim końcu sali uśmiechnęła się do Rossa.

- Dziękuję - powiedział do Simona Ha. - Panu też jestem wdzięczny, sierżancie - zwrócił się do szefa policji. - Ukłonił się i przez obrotowe drzwi wyszedł z hotelu. Cholera, ale będzie się musiał teraz tłumaczyć Dianie! Nie miał zielonego pojęcia, jak z tego wybrnie.

Odebrała właśnie swój bagaż od Pabla. Na werandzie przed hotelem chłopiec ustawił walizki równiutko obok siebie. Diana otworzyła torebkę i dała mu garść monet. Chłopak złapał je i pognął z powrotem do wózka, przy którym czekały zaprzężone woły. Bał się, że ładna pani jeszcze się rozmyśli i odbierze mu pieniądze.

Ross stanął tuż za Dianą.

- W ten sposób nie rozwiążesz palących problemów tej części świata.

Od razu zobaczył, że zeszywniała. Nadal była zwrócona twarzą w przeciwną stronę.

- Chyba nie.

- Dałaś chłopakowi za dużo.

- Nieważne.

- Wiadomości rozchodzą się tutaj bardzo szybko. Już miałem zresztą okazję się o tym przekonać. Jutro będą chodziły za tobą wszystkie dzieci z miasteczka.

Patrzyła wprost przed siebie.

- Niech chodzą. Lubię dzieci. - Odwróciła się w stronę Rossa. Wydawał się zaskoczony tym stwierdzeniem. - Tak. Lubię dzieci - powtórzyła. - Nie posądzałeś mnie o to, prawda?



- Nie - przyznał uczciwie.

- Okazuje się, że nawet ty możesz się mylić. Tak się składa, że bardzo lubię dzieci.

Ross myślał w tej chwili o zupełnie czymś innym. Po tym, co zrobił, zastanawiał się teraz, jak się ratować z opresji. Zdesperowany, zdjął kapelusz, walnął w niego pięścią i wbił go z powrotem na głowę.

- Słuchaj, Diano, jest mały problem.

- Jaki problem?

Postanowił przejść od razu do sedna sprawy.

- Grimmera tutaj nie ma.

- Nie ma? To niemożliwe.

- Wczoraj zameldował się w hotelu i wyszedł, żeby wynająć łódź od rybaka. Od tamtej pory nikt go więcej nie widział.

- Ale przecież rozmawiałam z nim wieczorem.

- Czy mówił ci, skąd dzwoni?

- Nie. Połączenie było fatalne, wiesz zresztą sam. Bardzo źle go słyszałam.

- Czy, gdy mówił, dochodziły do ciebie jeszcze jakieś inne głosy lub hałasy? Przypomnij sobie.

- Myślisz o zakłóceniach nie na linii, lecz w miejscu, skąd telefonował?

- Tak.

- Nie. Nic nie słyszałam. - Diana podniosła rękę do ust. Ross zobaczył, że dziewczyna drży. - Czy w hotelu sądzą, że Yale'owi stało się coś złego?

- Co masz na myśli?

- Czy zgłosili oficjalnie jego zaginięcie?

- A skąd mam, do diabła, to wiedzieć? Od właściciela hotelu wyciągnąłem tylko tyle, że nie my jedni szukamy Grimmera.

Zmarszczyła brwi.

- Nie my jedni?

- Powiedział mi, że byli tu dzisiaj dwaj obcy mężczyźni, którzy pytali o twego chłopaka.

- Czy mogli to być ci, których rozmowę podsłuchałeś nad brzegiem morza? - spytała po chwili namysłu.

- Opis się nie zgadza. Ale mogli to być dwaj faceci z uzbrojonej eskorty, która im wtedy towarzyszyła.

Diana przycisnęła ramiona do piersi. Mimo że na dworze panował upał, zrobiło się jej nagłe bardzo zimno. Drżała na całym ciele.

- Stało się coś złego - powiedziała do Rossa.  
- Mam złe przeczucia.

- Kobieca intuicja? - spytał z lekką drwiną. W głębi duszy musiał jednak przyznać jej rację. Cała ta cholerna sprawa bardzo mu się nie podobała. Wyglądała na śmierdzącą.

- Co teraz zrobimy? - Głos Diany brzmiał niepewnie i słabo.

- Najpierw coś zjemy, a potem spróbujemy się przespać. Może Grimmer wróci do rana.

Przeniosła wzrok z Rossa na obskurny budynek hotelu.

- Jak sądzę, jest to jedyny hotel w mieście.

- Dobrze sądzisz. - Pomyślał chwilę i mimochodem dorzucił: - Pytał o ciebie szef miejscowej policji.

- Policji? - powtórzyła zaniepokojona, szarpiąc nerwowo pasek od torebki.

- Przechodził przed chwilą obok ciebie. Mężczyzna w spłowiałym mundurze.

- Co mu o mnie mówiłeś?

- Powinnaś raczej spytać, czego nie mówiłem. Nie powiedziałem mu, że jesteś narzeczoną Grimmera.

- Dlaczego? - Spojrzała Rossowi prosto w twarz. Zdjął kapelusz i przeciągnął ręką po zwilgotniałych włosach.

- Sam nie wiem.

- Dlaczego? Czym się kierowałeś?

- Zwierzęcym instynktem.

- Zwierzęcym instynktem? - Diana z największym niesmakiem powtórzyła te słowa. - A cóż to takiego? Coś w rodzaju męskiego odpowiednika kobiecej intuicji?

Trafiła w dziesiątkę.

Ross postanowił powiedzieć jej więcej.

- Nie chciałem, aby ci dwaj faceci, którzy pytali o Grimmera i którzy pewnie tutaj wróca, dowiedzieli się, że w hotelu zatrzymała się jego narzeczona.

Tym razem Diana nie protestowała.

- Czy dostaniemy pokoje na noc?
- Nie.
- Ale przecież właśnie powiedziałeś...
- Nie pokoje. Jeden pokój.
- Jeden? - Głos Diany zabrzmiał o oktawę wyżej.;
- Czy nie mieli drugiego do wynajęcia?
- Nie pytałem.
- Dlaczego?
- Powiedziałem Simonowi Ha i sierżantowi Bokowi, że jest nam potrzebny tylko jeden pokój.
- Czemu to zrobiłeś?

Ross podniósł do góry obie ręce.

- Diano. Musisz mi przyrzec, że nie będziesz się awanturowała i dasz spokój dopóty, dopóki nie zjemy kolacji i nie znajdziemy się w naszym pokoju.

- Naszym?
  - Tak. W apartamencie dla nowożeńców.
- Na policzki Diany wystąpiły ogniste rumieńce.
- Na litość boską, coś ty uczynił?
  - Sierżant Bok pytał, czy jesteś moją siostrą.
  - Oczywiście wyjaśniłeś, że nie jestem.

- Tak właśnie mu powiedziałem. - Ross wzięt głęboki oddech. Był przygotowany na najgorsze.

- Oświadczyłem, że jesteś moją żoną.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Twoją żoną!

Od rozmowy na werandzie przed hotelem Paraiso upłynęły już ponad dwie godziny, a Diana nadal była wściekła na Rossa.

- Posłuchaj, proszę. Przepraszam cię za to, ale w tej sytuacji nie byłem w stanie wymyślić czegoś lepszego - powiedział, gdy znaleźli się w hotelowym apartamencie dla nowożeńców.

- Czy nie było prościej powiedzieć tym ludziom po prostu prawdę? - spytała.

Zdjął kapelusz i rzucił go na łóżko.

- Sam już nie wiem, co jest prawdą, a co nie.

Diana chodziła nerwowo po pokoju. Zachowywała się jak młoda, rozżłoszczona lwica zamknięta w klatce.

- Wobec tego przypomnę ci, jak wygląda prawda - zaczęła. - Jestem Diana Winsted, a ty nazywasz się Ross St. Clair. Jestem narzeczoną biznesmena, Yale'a Grimmera. - Demonstracyjnie obróciła na palcu zaręczynowy pierścionek, tak że diament znalazł się po właściwej stronie dłoni. Przez cały dzień kamień wrzynał się w jej delikatną skórę. Zaczęła teraz rozcierać obolałe miejsce. - Przyleciałam tutaj ze Stanów, z drugiego krańca świata na spotkanie z narzeczoną. Wczoraj wieczorem zatelefonował i poprosił, żebym przyjechała do niego na Port Manya. Złapałam więc w Manili pierwszy samolot lecący w tę stronę i tak oto znalazłam się na wyspie. A ty wybrałeś się w tę podróż ze mną. To są nagie fakty. Taka jest prawda.

Diana wpadła w furję. Dopiero co spędziła najgorszy wieczór swego życia, udając przy kolacji w obecności Simona Ha i innych ludzi, że jest nowo poślubioną żoną Rossa St. Claira.

St. to skrót od *saint*, czyli święty. Saint Clair. Święty Clair. Tak nazywali go mieszkańcy jakiejś zapadłej dziury. Był dla nich bożyszczem. Uchodził za człowieka, który nie potrafiłby popełnić nic złego. I to wszystko dlatego, że czyjemuś dziadkowi wykopał jakąś kretyńską studnię!

- Dianio, w przeciwieństwie do ciebie ja znam ludzi w tej części świata. Są nadzwyczaj konserwatywni i głęboko wierzący. Poznałem ich przesady i zwyczaje. Żadna kobieta, nawet czyjaś naręczona, nie podróżuje tutaj samotnie. To jest nie do pomyślenia. Czy ci się podoba, czy nie, potrzebujesz mojej opieki.

- Nie znaleźliśmy się w średniowieczu - warknęła.

- W jakimś sensie tak. Prawdę mówiąc, w tej społeczności odizolowanej od reszty świata niewiele od tamtych czasów się zmieniło. Samotna kobieta oznacza tylko jedno.

Diana zatrzymała się nagle i popatrzyła na Rossa, wyniośle unosząc brwi.

- Co masz na myśli?

Spojrzał na nią twardym wzrokiem.

- Najogólniej mówiąc, damę do towarzystwa na wieczór.

Przymknęła oczy.

- Chyba żartujesz.

- Nie. To święta prawda.

- Najbardziej idiotyczny, bezsensowny, antyfeministyczny, staroświecki...

Ross przerwał jej tę tyradę.

- Możesz się wściekać do woli, ale faktów to nie zmieni. Uwierz mi, proszę. Udając małżeństwo oszczędzisz sobie na tej wypie wielu kłopotów.

Zrozpaczonym gestem podniosła rękę do góry. Podeszła do łóżka i opadła na brzeg materaca.

- A jak ja wytłumaczę narzeczonemu, że jestem „żoną” innego mężczyzny?

- Jeśli interesuje cię moje zdanie w tej sprawie, to chętnie służyć i powiem, że to on powinien się tłumaczyć.

- Głos Rossa zrobił się nagle chłodny i szorstki.

Miał oczywiście rację, ale Diana nie zamierzała mu jej przyznać.

Zwilżyła językiem zaschnięte wargi i wzięła głęboki oddech.

- Jestem brudna i bardzo zmęczona. Myślę teraz tylko o jednym. Żeby się umyć i pójść spać.

- Mną się nie krępuj. - Ross usiadł na wyplatanej trzcinowym krześle, które z pewnością pamiętało lepsze czasy. Rozwiązał sznurowadła, zdjął buty i rzucił je w najbliższy kątek pokoju. Wstał i zaczął rozpinąć pasek od spodni.

Na ten widok Diana aż podskoczyła.

- Na litość boską, co robisz?

Podniósł głowę i popatrzył na rozzłoszczoną dziewczynę.

- Po prostu się rozbieram.

- Dlaczego?

- Przecież w spodniach nie pójdę do łóżka.

- Nie możesz tutaj zostać.

- Jestem twoim mężem, wszyscy tu tak sądzą. - Po chwili dodał: - Masz dla mnie inną propozycję?

Diana wskazała ręką drzwi.

- Wyjdź stąd. Natychmiast.

- A niby dokąd? - spytał Ross przez zaciśnięte zęby.

Wpadła. Z pokoju hotelowego wyrzucić go nie mogła.

- Ty rzeczywiście jesteś skur...

- Pani Winsted, co za język!

- Skórkoad - powiedziała po chwili wahania.

- Oboje jesteśmy przecież dorośli - stwierdził pojednawczo Ross. - Jestem pewien, że znajdziemy jakiś sposób, aby spokojnie spędzić tę jedną noc.

- Też tak uważam. Pod warunkiem, że nie zdejmiesz spodni.

- Mam wziąć w nich prysznic?

- Nie bądź śmieszny. Oczywiście, że nie.

- Kto idzie pierwszy do łazienki? Ty czyja? - spytał niezwykle uprzejmym tonem.

- Ty. Idź pierwszy. Muszę się jeszcze rozpakować - oświadczyła Diana. Sięgnęła po torebkę i zaczęła w niej szukać kluczyków do walizek.

- Zamknij za mną drzwi od środka i nikomu nie otwieraj - poinstruował ją Ross. Wziął ręcznik i wyszedł na korytarz, przy którym znajdowała się jedyna na piętrze, ogólnie dostępna łazienka.

- Nikomu? - zawołała z głębi pokoju.

- Nikomu oprócz mnie, słoneczko - odpowiedział z korytarza Ross.

Wrócił po kwadransie. Rozpakowane ubrania Diany wisiły już w staroświeckiej szafie. Ściągnęła kostium a na biustonosz i majtki narzuciła lekkie, skromne wdzianko, skrywające ją od szyi aż po kolana. Przez jedno ramię przerzuciła koszulę nocną, w prawym ręku trzymała szampon, a w lewym szczoteczkę i pastę do zębów. Była gotowa do wyjścia.

Ross popatrzył na nią przez chwilę.

- Nie zapomnij o ręczniku - powiedział i udrapował ją na jej wolnym ramieniu.

- Dziękuję. Czy jest coś, co powinnam wiedzieć o tym prysznicu?

- Nie. Jest tu typowy system wodociągowy zimna-zimna woda.

- Bez gorącej? - jęknęła.

Ross spojrział na nią spod oka.

- To nie Hilton, Diano.

- Już dobrze.

- Aha. Poczekaj chwilę. - Sięgnął do plecaka i wyciągnął plastikową butelkę. - W tym umyj zęby.

- Czysta woda?

- Ja jestem uodporniony, mam zresztą wszystkie niezbędne szczepienia. Ale tobie nie zaszkodzi, jeśli zachowasz trochę ostrożności.

Diana z godnością przyjęła ten dowód troskliwości.

- *Salamat* - powiedziała biorąc butelkę.

- *Walang anoman* - odrzekł Ross.

Idąc korytarzem do łazienki, nie mogła się powstrzymać i przez ramię zawołała:

- Zamknij za mną drzwi od środka i nikomu nie otwieraj.

- Nikomu? - z głębi pokoju odezwał się Ross.

- Nikomu oprócz mnie, słoneczko - odpowiedziała.

Miejscowy system wodociagowy dostarczał rzeczywiście zimną-zimną wodę, tyle że nie bieżącą, lecz ledwie kapiącą. Długo to trwało, ale Diana jakoś się umyła. Z włosów udało się jej nawet spłukać trochę szamponu.

Zatrzymała się jeszcze przed lustrem. Spojrzała na swe odbicie.

- Uważaj, Diano Winsted - szepnęła do blondynki widniejącej w popękanej tafli. - Bądź ostrożna. Pamiętaj, że Ross to nie jest mężczyzna odpowiedni dla ciebie. Sama zresztą dobrze o tym wiesz. - Wzięła grzebień i zaczęła energicznie rozczesywać mokre, splątane włosy. Przy każdym ruchu ręki pobrzękiwały maskotki przychepione do złotej bransoletki.

Drzwi do apartamentu dla nowożeńców nie były zamknięte od wewnątrz. Weszła do środka. Ross leżał rozciągnięty na szerokim łóżku. Pod głowę podłożył ręce. Miał na sobie tylko czyste spodenki koloru khaki.

- Nie miałem pojęcia, po której stronie chcesz



spać. Dlatego na ciebie czekałem - odezwał się łagodnym głosem.

Spojrzała na niego.

- To bez znaczenia.

- Pierwszy raz widzę cię z rozpuszczonymi włosami.

- Umyłam je.

- Zauważyłem. - Po chwili dodał: - Wolę, gdy są rozpuszczone.

- To miłe.

- Nie jesteś umalowana.

Do podręcznej torby włożyła przybory toaletowe.

- Nie jestem.

- Bez makijażu wyglądasz młodziej. I ładniej.

Zastanawiała się, co odpowiedzieć. Nie sądziła, żeby stwierdzenie na głos: „a ty bez ubrania wyglądasz jeszcze bardziej niebezpiecznie niż zwykle” było sensownym posunięciem.

Ross usiadł i spuścił nogi z łóżka.

- Kładź się, a ja rozciągnę moskitierę i zgaszę światło.

- Czy ta siatka jest rzeczywiście potrzebna? - spytała wsuwając się szybko między prześcieradła.

- Nie zadawałabyś w ogóle tego pytania, gdybyś kiedykolwiek przedtem choć raz spała w tropikach. Czasami w nocy wydaje się człowiekowi, że moskity są wielkie jak baki. To żadne krwi bestie.

Bez słowa uznała, że Ross ma rację.

Rozpiął moskitierę wokół łóżka i zgasił światło. W pokoju zapanowała ciemność. Gdy kładł się z powrotem, Diana poczuła, jak ugina się cały materac.

Oboje znaleźli się nagle we własnym świetle, odizolowani od otaczającej ich rzeczywistości. Spowici nocą.

Upłynęło pięć minut.

Potem następne dziesięć.

- Diano, czy śpisz? - spytał cicho Ross.

- Nie - odezwała się szeptem. Westchnęła.

- Czy kochasz Grimmera? - Z drugiej strony łóżka padło nagle pytanie.

- Rossie, proszę...

- Wystarczy, że powiesz: tak lub nie.

Utkwiła wzrok w moskitierze rozpiętej nad łóżkiem.

- To nie takie proste.

- Czemu?

O związku z Yale'em nie zamierzała z nikim rozmawiać, a tym bardziej z Rossem. Powiedziała ostrożnie:

- Oboje wiemy, czego od siebie chcemy i czego po naszym małżeństwie możemy się spodziewać. Dobrze się rozumiemy. Jesteśmy do siebie podobni.

- W to nie uwierzę - powiedział ostro mężczyzna po drugiej stronie łóżka.

- Ale to prawda.

- Z tego, co mówisz, można by sądzić, że chodzi nie o związek dusz dwojga ludzi, lecz o umowę handlową. A gdzie namiętność i wzajemne pożądanie?

Dość długo milczała, a potem odezwała się niepewnie:

- Być może wielkie namiętności w ogóle nie istnieją.

- Swego czasu od razu przyznałbym ci rację. Uważałem, że żona ma być dobrą panią domu i niczym więcej. Teraz wiem lepiej. Zmądrzałem. - Roześmiał się gorzko.

W apartamencie dla nowożeńców ponownie zapadła głucha cisza.

Zza warstwy chmur wysunęła się tarcza księżyca. Promienie bladego światła zaczęły błądzić po wnętrzu pokoju.

Kątem oka Diana zauważyła, że Ross obrócił głowę w jej stronę. Czuła, że przygląda się jej badawczo.

- Nie wychodź za Grimmera - odezwał się po chwili. - Jeśli to zrobisz, będziesz żałowała do końca życia.

- Nie będę.

- Sądziś, że potrafisz żyć bez namiętności? - Jego głos brzmiał ostrzej niż poprzednio.

- Wiem, że potrafię.

Całym ciałem obrócił się teraz w jej stronę. Był dobrze widoczny w księżycowej poświacie.

- Moja damo - powiedział - jesteś albo kłamczucha, albo idiotką.

Diana poczuła nagle, że ma oczy pełne piekących łez. Słowa Rossa dotknęły ją bardziej, niż mógł przypuszczać. Przełknęła ślinę i nieco zachrypniętym głosem rzekła:

- Po prostu namiętność nie ma dla mnie znaczenia.

- Nie wierzę. - Ross przysunął się bliżej. Poczowała jego ciepły oddech na twarzy. - Pocałuj mnie i udowodnij, że się mylę.

Zwróciła się ku niemu i chłodnymi wargami dotknęła lekko szorstkiego policzka.

- Już.

- Boisz się? - spytał.

- Dlaczego miałabym się bać?

- To nie był pocałunek. Obawiasz się poznać prawdę?

Podjęła wyzwanie.

- Nie.

Uniosła się, oparła na łokciu i nachyliła nad leżącym Rossem. Czuła ciepło promieniujące z jego ciała. Dotknęła ręką rozgrzanej, odkrytej piersi.

Oddychała głęboko. Wciągała nozdrzami woń drażniącą jej zmysły. Pachniał mydłem i egzotyczną nocą.

- To chyba nie jest dobry pomysł - odezwała się po chwili z wahaniem

- Pomysł jest znakomity, słoneczko - zaprotestował.

Diana zaczęła szybko kalkulować. To, co dzisiaj zdarzyło się w samolocie między nią a Rossem, było

z pewnością wynikiem jej wybujałej wyobraźni lub ostrą formą opóźnionej reakcji na lot odrzutowcem. Niczym więcej być nie mogło.

Zaraz więc mu udowodni, jak bardzo się mylił. Jej samej przecież ani nie pociągały żadne namiętności i uniesienia, ani też nie była do nich zdolna. Ten fakt był jej dobrze znany.

Dotknęła wargami ust Rossa i, podobnie jak poprzednio, natychmiast poczuła, że świat zawirował i ogarnęły ją płomienie.

Popełniła poważny błąd, a właściwie dwa duże błędy. Nie powinna całować Rossa wtedy w samolocie, a teraz nie powinna podejmować jego wyzwania, gdy tak leżeli obok siebie, skapani w księżycowej poświacie.

Zdała sobie natychmiast sprawę z tego, że sytuacja wymknęła jej się spod kontroli. A przecież dotychczas, gdy spotykała się z Yale'em, nigdy nie traciła panowania nad sobą. Dlaczego właśnie teraz tak się stało? Dlaczego przydarzyło jej się to z Rossem St. Clairem? Czy podniecało nieznane? Pociągał zakazany owoc? A może przesądziła świadomość niebezpieczeństwa? Może gdzieś głęboko tkwiło w niej pragnienie, by dać się uwieść prymitywnemu, nie cywilizowanemu osobnikowi? Pożądała podświadomie najemnika? Kowboja? Mężczyzny, który kierował się w życiu wyłącznie zwierzęcym instynktem i siłą fizyczną, a nie rozumem?

Gdy Ross ją pocałował, Diana od razu zapomniała o wszystkim. Poddała się jego silnym wargom. Co to było za cudowne doznanie, kiedy poczuła ciepło bijące z jego ciała i napięcie twardych mięśni klatki piersiowej, gdy wziął ją w ramiona!

Świat przestał istnieć. Nie było Pacyfiku, dżungli, wyspy Port Manya ani hotelu Paraiso. Dla Diany nie miało żadnego znaczenia to, że znajduje się w nędznym

pokoju ze skrzypiącym łóżkiem. Liczył się tylko Ross i liczyły się doznania, którymi została obdarowana.

Poczynione w myśli spostrzeżenia poważnie ją zaniepokoiły. Powinna dodać do nich jeszcze to, że zapomniała o strachu. Przestała się bać.

Ross całował Dianę, a jej to nie wystarczało. Wsunął język między rozchylone wargi dziewczyny, a ona drażniła go własnym językiem. Tętno zwiększyło się jej dwukrotnie, a potem trzykrotnie. Serce podchodziło do gardła. Nie mogła przełykać śliny. Nie była w stanie oddychać. I wcale się tym wszystkim nie przejmowała.

Ręce Rossa wędrowały po jej szyi, karku i ramionach. Przez lekkie wdzianko, którego nie zdjęła, czuła zgrubiałą skórę na jego dłoniach. Pragnęła tylko jednego. Żeby dotykał jej nagiego ciała.

Z ramion Ross przesunął ręce do środka, oparł je na bokach dziewczyny. Przez lekkie wdzianko i koszulę nocną zaczął teraz pieścić palcami naprężone sutki.

Z rozchylonych ust Diany wydobył się głuchy jęk.

- O tak. Właśnie tak, słoneczko - szepnął Ross.

Zsunął z niej wdzianko, a potem koszulę. Diana odczuwała teraz na skórze wilgotne ciepło jego warg i twardego koniec języka, którym kreślił szalone, erotyczne wzory na piersiach wokół sztywnych sutek. Drażnił je gryząc lekko zębami, a potem łagodził odczucia językiem. Wargami sięgnął ust dziewczyny i wpił się w nie tak łapczywie i tak głęboko, że myślała, iż wchłonie ją całą.

Namiętność.

Słowo to wryło na zawsze ogniste piętno w każdym zakamarku mózgu Diany, w każdym zakończeniu nerwowym jej ciała, na każdym skrawku skóry. Porwała ją namiętność w najbardziej pierwotnej,

nieskażonej postaci. Namiętność, która trawiła umysł, ciało i duszę. Namiętność, która spalała.

Zrobił poważny błąd całując Dianę w samolocie. A teraz nie był w stanie w ogóle się od niej oderwać. Cholerna sprawa.

Zarówno reakcja Diany, jak i jego własna, przekroczyły najśmielsze oczekiwania. Ross uprzytomnił to sobie przywierając wargami do jej odkrytych piersi. Dobrze pamiętał, że gdy po raz pierwszy zobaczył tę dziewczynę, zastanawiał się, czy pod chłodną powierzchownością nie kryje się przypadkiem namiętna, zmysłowa kobieta. Teraz już znał odpowiedź na swoje pytanie.

W jego ramionach rozpałała się do żywego ognia. I w ten sposób wyzwoliła w nim takie namiętności, jakich jeszcze nigdy nie odczuwał. Z jej ciała biło oszałamiające ciepło. Była podniecona. Miękka i wilgotna, gotowa przyjąć go natychmiast. Wiedział, jak bardzo ją rozbudził, i ta świadomość sprawiała, że sam pragnął jej coraz mocniej.

Chciał zedrzyć pościel z Diany. Rozpiąć szybko już teraz zbyt ciasne spodenki. Uwolnić z nich nabrzmiałą męskość. Rozchylić uda dziewczyny. Zanurzyć się w niej. Aż do końca.

Marzył o tym, żeby za każdym razem, przy każdym wejściu w miękkie ciało obserwować twarz Diany. Patrzeć, jak doprowadza ją do orgazmu, by chwilę później zatracić się samemu.

Nagle oprzytomniał. Zatrzymał rozpedzone marzenia jedną, przyziemną myślą.

Jęknął głośno:

- Nie mogę! Nie mogę tego zrobić, nie mogę!

Diana otworzyła oczy i spojrzała na niego wzrokiem pełnym pożądania.

- Nie możesz? - powtórzyła półprzytomnie. Nie rozumiała, o czym mówi Ross.

- Oboje nie możemy - powiedział ostrzejszym tonem.

- O czym ty mówisz? - spytała.

- Nie wolno nam posunąć się dalej. To niebezpieczne. - Oderwał się od Diany i obrócił na plecy.

- Ale ze mnie szczeniak! - sztych sam z siebie.

- Nie jestem nawet odpowiednio przygotowany.

Leżąca obok dziewczyna bez słowa obciągnęła koszulę.

- Przepraszam cię, Diano.

- To... to nie twoja wina.

- Moja. - Ross ze złością wbił pięść w poduszkę.

- Nie będąc przygotowany, nie powinienem w ogóle zaczynać.

Usłyszał cichy, lecz pewny głos Diany:

- Nie przejmuj się, proszę. Jesteśmy tylko ludźmi. Zagalopowaliśmy się trochę. Poszaleliśmy. To się zdarza. Przecież sam dzisiaj mi to mówiłeś.

Czuł się jak niedźwiedź z przytrzaśniętą we wnykach łapą. Cholernie źle.

- Może nie mówiłem prawdy...

- Skłamałeś? - spytała Diana. - Mnie okłamałeś?

- Nie. - Wziął ją za rękę. Była lodowata, podobnie jak bransoletka z maskotkami obejmująca przegub dłoni. - Nie kłamałem, Diano. Mówiłem prawdę. Nigdy nie będę cię okłamywać. Masz na to moje słowo.

Milczeli. Po chwili odezwała się Diana:

- Miałeś rację.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Że jestem idiotką i kłamczucha.

- Nie jesteś idiotką, słoneczko. A kłamać zdarza się wszystkim ludziom. To naturalny przejaw instynktu samozachowawczego.

- Sądziłam, że mogę żyć bez namiętności. - Głos Diany lekko się załamał. - Byłam w błędzie.

Ross odwrócił głowę w stronę dziewczyny i zobaczył, że w jej oczach pojawiły się łzy.

- Czy tak jak dzisiaj czułaś się kiedyś przy Grimmerze? - spytał.

- Nie.

- Oj, cholera...

- Co?

- Lepiej stąd wyjdę, zanim zrobię coś, czego oboje będziemy potem żałowali.

- Nie rozumiem.

Ross wziął jej rękę i położył ją sobie na podbrzuszu.

- Czujesz?

- Tak.

- Wiesz, co to jest?

- Oczywiście, że wiem.

Ross wydał z siebie przeciągły jęk. Był zły. Był także bezradny.

- Pożądam cię, Diano Winsted. Jeszcze nigdy tak nie pragnąłem żadnej kobiety.

- Och! - wykrztusiła z siebie dziewczyna.

- Jeżeli tutaj zostanę, skończy się na tym, że będziemy się kochali. A nie możemy, bo, szczerze mówiąc, żadne z nas nie jest do tego odpowiednio przygotowane. - Ross odsunął moskitierę i wyskoczył z łóżka.

- Dokąd idziesz?

- Wychodzę. - Złapał koszulę.

- Ale dokąd?

Wzruszył ramionami i zaczął szybko wciągać buty.

- Przecież wcześniej mówiłeś, że nie masz dokąd pójść.

- Mogę zawsze iść znów pod prysznic.

- Rossie... -jęknęła błagalnym głosem Diana;

Zmusi się, żeby stąd wyjść. A dziewczyna jeszcze mu za to kiedyś podziękuje.

- Zamknij za mną drzwi od środka - polecił wychodząc.



Doszedł do schodów, zbiegł w dół i w ciągu zaledwie paru sekund znalazł się na werandzie przed hotelem Paraiso.

Huczało mu w głowie. Jak litanię zaczął powtarzać to, co wpajali mu przed laty rodzice: Kieruj się zawsze sumieniem. Niech ono będzie w życiu twoim przewodnikiem.

Wyszedł na środek ulicy i w bezsilnej złości kopnął z całej siły leżącą na ziemi zardzewiałą puszkę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Była głęboka noc. W apartamencie dla nowożeńców Diana leżała samotnie w łóżku. Z trudem powstrzymywała się od łez. Nie miała pretensji do Rossa. To, co się stało, było winą ich obojga. Każdy, kto jest na tyle głupi, żeby igrać z ogniem, naraża się zawsze na poparzenie. Bez względu na to, w jakiej części świata się znajduje, bo to prawda uniwersalna.

Dzisiejszej nocy Ross dał Dianie prawdziwą lekcję pokazową, a przy tym zrobił jej dużą przysługę. Dzięki niemu dowiedziała się o sobie czegoś bardzo ważnego. Nie jest lodową księżniczką. Nie jest zimna i wyrachowana. Nie ma serca z kamienia. Tych kilku mężczyzn, z którymi się dotychczas spotykała, nie miało racji uważając ją za oziębłą.

Ross St. Clair udowodnił, że w rękach odpowiedniego mężczyzny jest kobietą gorącą i namiętą. A więc nie miała się o co martwić. Wszystko było z nią w porządku.

Poczuła się znakomicie, wręcz radośnie. Poprawiła poduszkę, wygładziła zmiętą pościel i ułożyła się wygodnie na łóżku.

Czekała na powrót Rossa.

I myślała.

Yale Grimmer.

Wysoki. Przystojny. Wykształcony. Ambitny. Kulturalny. Dobrze wychowany. Pochodzący z dobrej rodziny. Dający kobiecie poczucie bezpieczeństwa.

Diana uprzytomniła sobie teraz, że do największych zalet Yale'a zaliczała także to, iż nigdy nie był

natarczywy i nie nalegał na intymne zbliżenie. Jego pocałunki sprawiały przyjemność, ale nie zapowiadały niczego więcej. Był miły. Opiekuńczy i troskliwy. Dbał o jej dobre samopoczucie w równym stopniu, jak o własne. Nigdy nie tracił panowania nad sobą.

Krótko mówiąc, Yale Grimmer był mężczyzną idealnym, w każdym calu dżentelmenem.

Diana nie była już jednak wcale pewna, czy pragnie poślubić mężczyznę idealnego, w każdym calu dżentelmena.

Chyba jednak przez cały czas czuła podświadomie, że w jej związku z Yale'em nie ma czegoś ważnego. Dzięki Rossowi St. Clairowi dowiedziała się dzisiaj, że tym, czego jej brakowało, jest namiętność.

Odwróciła się na bok. Przeciągnęła ręką wzdłuż pościeli w miejscu, które tak niedawno zajmował Ross. Wdychała wyraźny, męski zapach.

Przeżyła namiętne uniesienia. Były to wspaniałe odczucia. Wciągały jak narkotyk. Diana wiedziała już z całą pewnością, że są jej tak niezbędne jak powietrze i pożywienie.

Nie była na tyle naiwna, aby przeceniać ten stan. Zdobyła jednak pewność, że w stosunkach między mężczyzną a kobietą namiętność jest konieczna. Dzisiejszej nocy otrzymała od Rossa piękny, drogocenny podarunek: prawdę o samej sobie. Dał jej lekcję niezwykle pouczającą. Był przy tym znakomitym nauczycielem. Pragnęła mu za to podziękować, powiedzieć *salamat*.

Zwinęła się w kłębek i naciągnęła na siebie prześcieradło. Postanowiła czuwać i czekać na powrót Rossa, ale zmęczenie całodzienną podróżą i wszystkie związane z nią emocje dały znać o sobie. Dianie zaczęły ciążyć powieki.

Będąc na granicy snu przypomniała sobie, że zanim wybiegł z pokoju, Ross o coś ją prosił.

O co?

Zasypiając pomyślała: czy zamknęłam drzwi?

Coś nagle ją obudziło. Oderwała głowę od poduszki, podniosła się na łokciach i próbowała przebić wzrokiem otaczającą ją ciemność.

Usłyszała, że ktoś ostrożnie naciska klamkę. Przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi.

To pewnie wraca Ross. Któż inny chciałby się dostać do ich pokoju? O tym, że w hotelu Paraiso zatrzymali się „państwo St. Clairowie”, wiedziało zaledwie kilka osób.

Oczywiście, że w takiej małej miejscinie, jak Port Manya, to, co wie jedna osoba, wiedzą prawie natychmiast wszyscy inni mieszkańcy, od głuchego staruszka siedzącego na przyzbie do najmłodszego dziecka uganiającego się po ulicy. Tutaj wiadomości rozchodzą się błyskawicznie. Może dlatego, że jest ich niewiele. Przybycie każdego obcego jest nie lada wydarzeniem. Komentowanie przyjazdu jej i Rossa wystarczy mieszkańcom na wiele, wiele dni.

Zaskrzypiały drzwi. Ktoś po cichu próbował dostać się do pokoju.

- Rossie, to ty? - spytała cicho.

Nie było odpowiedzi.

Drzwi skrzypnęły ponownie. Otworzyły się szerzej.

- Ross?

Nadal nikt się nie odzywał.

- Jeśli chciałeś mnie nastraszyć, to ci się nie udało - powiedziała karcącym głosem. O tej porze nie miała ochoty na żarty.

Usłyszała ciche, zbliżające się kroki.

Spróbowała z innej beczki.

- Yale, czy to ty?

W poświacie padającej z okna zobaczyła, że drzwi są otwarte. W tym momencie jednak księżyc schował

się za chmury i pokój zatonął ponownie w ciemnościach.

Nagle Diana zorientowała się, że dzieje się coś bardzo niedobrego. To nie był Yale. I z pewnością nie Ross.

Księżyc wychylił się zza chmur i w pokoju nieco się przejaśniło. W otwartych drzwiach Diana zobaczyła dwie duże, ciemne sylwetki.

W ostatniej chwili powstrzymała się od krzyku.

Co robić? Na litość boską, co robić?

Do pokoju weszli dwaj potężni mężczyźni. Ci sami, którzy dziś szukali Yale'a, pomyślała z przerażeniem.

Wyglądali jak bandyci.

- Ona gdzieś tu musi być - powiedział szeptem jeden do drugiego.

- Czy jest z nią Grimmer?

- Nie wiem. Carlos kazał dostarczyć ich oboje żywych. Wraz z towarem.

- No to uważaj, żebyś nie strzelał. Chyba że będziesz musiał - syknął drugi.

Mogą strzelać?

Mają broń!

Serce Diany zaczęło bić jak oszalałe. Musiała się opanować. Trzeba było szybko coś wymyślić, żeby się uratować. Może wśliznąć się pod łóżko? Ale to przecież pierwsze miejsce, w którym będą jej szukali! Do szafy było za daleko. Nie miała się gdzie ukryć. Jedyna droga do wyjścia była odcięta.

Znalazła się w pułapce.

Po raz pierwszy w życiu Diana Winsted pojęła, co to strach i zagrożenie życia. Nigdy o tym nie myślała ani nawet nie śniła w najgorszych koszmarach.

Jej codzienną egzystencję wśród kochającej rodziny złożonej z rodziców, dziadków i młodszego brata, a także wśród przyjaciół i koleżanek, cechowały

dostatek i spokój. Nie przeżywała rozczarowań. Nie doceniała tego, że prowadziła bezpieczne życie.

Teraz bała się naprawdę. Nie miała pojęcia, co zrobić, ale nie chciała być bezczynna. Żałowała, że nie uczyła się na kurs samoobrony, że nie ma przy sobie broni, a także, że nie umie się z nią obchodzić.

Ale gdzie jest Ross?

Potrzebny był jak nigdy przedtem. On wiedziałyby, co robić! Na widok dwóch wchodzących zbirów z pewnością nie schowałyby się w kącie pokoju.

Diana zdała sobie sprawę z tego, że pozostało jej tylko jedno wyjście.

Nabrała do płuc powietrza i zaczęła przeraźliwie krzyczeć:

- Rossie! Na pomoc! Rossie!

- Ona jest tutaj i wrzeszczy tak, że umarłego by obudziła -jeden ze zbirów krzyknął do drugiego, gdy po ciemku wpadli na siebie.

- Zaraz ją złapiemy i uciszymy.

- To ty ją złap i ucisz.

- Rossie! Na pomoc! Niech ktoś mi pomoże!

- Kim, do cholery, jest Ross?

- A skąd, do diabła, mam wiedzieć? Jestem Duchem Świętym?

- Siedzi na łóżku. Złap ją.

Jeden z bandytów rzucił się w stronę Diany. Szybko przesunęła się na przeciwną stronę łóżka. Próbowała omotać przeciwnika moskitierą, ale się nie udało. Złapała poduszkę i z całej siły zaczęła nią walić napastnika.

Wdzianko i koszula krępowały ruchy. Żałowała, że nie ma na sobie piżamy.

Drugi z bandytów zaszedł Dianę od tyłu. Zaczęła go kopać, próbując trafić w podbrzusze. Czytała kiedyś, że do najsłabszych miejsc na ciele atakowanego mężczyzny należą: genitalia, oczy i gardło.

Coś ostrego. Przydałby się jakiś szpikulec, pomyślała. Jaka szkoda, że włoskie pantofle z wysokimi i ostrymi obcasami stoją daleko w szafie. Zrobiłaby z nich teraz wreszcie sensowny użytek.

Jeden z napastników złapał Dianę za ramię. Wykręciła się, zwinęła i zatopiła zęby w trzymającej ją ręce.

Jęknął i puścił dziewczynę.

- Oj, ta dziwka mnie ugryzła! - poskarżył się współnikowi.

- Przestań jęczeć.

- Ale to boli.

Diana czekała teraz w napięciu na odpowiedni moment. Modliła się, żeby się powiodło.

Miała szczęście.

W tej właśnie chwili księżyc skrył się za chmury i dziewczyna zrozumiała, że jest to jej ostatnia szansa. Odrzuciła moskitierę, przeskoczyła przez dolną krawędź łóżka i rzuciła się ku otwartym drzwiom.

- Łap ją! Szybko! Ucieka!

Diana biegła jak szalona po schodach, podciągając długą koszulę. Po drodze zrzuciła krępujące ruchy wdzianko, mając błogą nadzieję, że któryś z bandytów pośliznie się na jedwabnej tkaninie. Na dole minęła bar i znalazła się na ulicy. Biegła teraz najszybciej jak potrafiła, nie patrząc ani za siebie, ani przed siebie. Nagle wpadła na coś dużego i miękkiego. Na jakiegoś człowieka.

- Diana! - wykrzyknął Ross przytrzymując dziewczynę.

O Boże, to Ross!

Była tak zadyszana, że nie mogła złapać powietrza ani wykrztusić słowa. Ross zorientował się natychmiast, że wydarzyło się coś złego.

Wciągnął szybko Dianę w miejsce ciemne i niewidoczne z ulicy. Przyłożył dłoń do jej warg, nakazując milczenie. Schowali się za dużą skrzynię. Zobaczyli,

jak bandyci wybiegają z hotelu i rozglądają się wokoło. Ulica była pusta.

- Uciekła.

- Szeł się wścieknie.

Jeden z napastników nadal masował sobie rękę, w której Diana zatopiła zęby.

- Nie mówił nam, że to taka wściekła baba.

- Może nie wiedział.

- Co teraz zrobimy?

- Wrócimy do obozu i poczekamy do świtu. Po ciemku jej nie znajdziemy.

- Moja ręka krwawi - jęczał jeden z bandytów.

- Zamknij się! - wrzasnął drugi.

- Ugryzła mnie w palec, którym naciskam spust.

- No to co? Przecież i tak strzelasz niecelnie.

Obaj kłócili się jeszcze przez chwilę, a potem ruszyli wzdłuż głównej ulicy miasta. Po paru chwilach nie było już ich widać.

Diana otworzyła usta.

- Ciii... - nakazał milczenie Ross.

Czekali.

Upłynęło pięć minut.

Dziesięć.

Piętnaście.

Ross wyprostował się i rozejrzał wokoło. Wyszli zza skrzyni. Diana drżała na całym ciele. Uginały się pod nią kolana. Objął ją mocno i trzymał blisko siebie tak, jakby nie zamierzał puścić. Nigdy.

Dziewczyna nieco się uspokoiła. Przestała dygotać.

- Lepiej się czujesz? - zapytał szeptem.

Skinęła głową.

- Wrócimy teraz do hotelu. Idąc wybieraj nie oświetlone miejsca. Zrozumiałaś?

Ponownie potwierdziła gestem.

Szli ostrożnie, powoli, aż do werandy. Szybko dopadli otwartych drzwi. Ross zamknął je i przyciągnął



Dianę do siebie, tak jakby chciał chronić ją całym ciałem.

Wyrzął ostrożnie przez okno i popatrzył na ulicę.

- Chyba już poszli.
- Na zawsze?
- Nie. Wrócą - odpowiedział szczerze.
- Kiedy?
- Słyszałaś. O świcie.

Diana zamarła.

- Co zrobimy?
- Ty... my musimy stąd uciec tej nocy.
- Dokąd pójdziemy?
- Jeszcze nie wiem. - Ross potrząsnął głową.
- Najpierw trzeba będzie załatwić kilka rzeczy.
- Co?
- Powiem ci potem, jak będziesz się pakować.

Weszli po schodach na górę.

Zatrzymali się w drzwiach apartamentu dla nowożeńców. Podarta moskitiera leżała na ziemi. Poduszki i prześcieradła też walały się po podłodze. Materac był ściągnięty do połowy z łóżka.

- Wygląda na to, że stoczyłaś tutaj nie byle jaką walnę - stwierdził zdumiony Ross.

- Próbowałam. Ale byłam bez szans. Dwóch na jednego.

- Co zrobiłaś facetowi, który jęczał, że boli go ręka?

Oczy Diany zabłyśły;

- Ugryzłam go.

Rossa aż zatkało.

- Spakuj rzeczy do jednej małej torby. Tylko to, co absolutnie niezbędne. Idę na dół do Simona Ha.

- Simona Ha?

- Potrzebuję czegoś na wymianę za jedzenie i picie. Muszę pohandlować.

Diana wyjęła szybko całą biżuterię. Wybrała kilkaj

pierścionków, parę złotych kraczków i broszkę z kamieniami półszlachetnymi.

- A to? - spytał Ross wskazując złotą bransoletkę z maskotkami, którą miała na rękę.

- Nie. Dostałam ją od Yale'a na urodziny. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym ją sprzedała.

Ross wzruszył ramionami. Podszedł do szafy i zaczął przebierać w rzeczach Diany. Wyjął dwie najbardziej jaskrawe sukienki i ekstrawaganckie pantofle na wysokich obcasach.

- Czemu wyciągasz moje ubrania?

- Muszę mieć coś, co spodoba się Loli.

- Loli?

Odwrócił się w stronę Diany i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy.

- Potrzebne ci są wygodne buty i jakieś normalne ubranie. W tej szafie nie masz nic, co by się nadawało do włożenia.

- Ale to kosztowało pięćset dolarów - jęknęła widząc, że Ross ściąga z wieszaka następną elegancką sukienkę.

W oczach Rossa pojawiły się stalowe, zimne błyski.

- A na ile oceniasz własne życie, Diano? - spytał poważnym głosem.

Przestała protestować.

- Weź także to. - Z szafy wyciągnęła jeszcze jedną suknię. - Ma kolor, który będzie odpowiadał Loli.

Obładowany Ross skierował się do wyjścia. Stał w drzwiach.

- Tym razem nie zapomnij zamknąć za mną drzwi. Wróć za pół godziny, może trochę wcześniej. Przygotuj się tak, żebyś mogła natychmiast włożyć na siebie ubranie, które ci przyniosę. I, pamiętaj, spakuj tylko tyle, ile sama zdołasz unieść.

- Dobrze.

- Aha. Weź resztę biżuterii. Może się przydać na wymianę za jedzenie i inne potrzebne rzeczy. Nie wiem, jak długo będziemy musieli tam zostać.
- Tam, to znaczy gdzie? - wyrwało się Dianie.
- Przecież uciekamy, dzieciно.
- Uciekamy?
- Tak. Do dżungli.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Byli już w drodze od wielu godzin, a Diana w ogóle się nie użalała. Z jej ust nie padło ani jedno słowo skargi, ani jedno westchnienie. Nie narzekała na swój los.

Jej zachowanie zaskoczyło Rossa.

Przecież musiała lepić się od potu. Z pewnością była także zmęczona i głodna.

Chyba miała otarte stopy w za dużych butach. Bolały ją z pewnością wszystkie mięśnie. Ross zmusił Dianę do największego wysiłku w jej życiu. Mimo to jednak bez słowa skargi dotrzymywała mu kroku.

Odwrócił głowę i zapytał:

- No i co?
- Świetnie.
- Jak tam buty?
- Znakomicie.

Lola z hotelu Paraiso nie miała żadnego wygodnego obuwia, Ross musiał więc zdobyć je gdzie indziej. Za horrendalnie wysoką cenę kupił od Simona Ha parę męskich, mocnych butów, jedną z nielicznych na wyspie, jako że mieszkańcy Port Manya chodzili zazwyczaj bosy.

- Z prawdziwej skóry - zachwalał Simon Ha.  
- Ręczna robota. Mój nastarszy syn przywiózł je aż z Mindanao.

Ross nie miał wyboru. Kupione buty były za duże dla Diany, ale z pewnością lepsze niż jej własne pantofelki na wysokich obcasach.

Bluzkę, kurtkę i parę wypłowiałych dżinsów Lola ochoczo wymieniła na eleganckie sukienki. Diana

była od niej znacznie wyższa, tak że spodnie sięgały zaledwie do pół łydki. Nałożyła więc długie skarpety Rossa. Nikt przy zdrowych zmysłach idąc do dżungli nie zostawia ani skrawka odkrytego ciała.

Ross nie wyjaśnił Dianie, dlaczego, a ona na szczęście nie pytała. W pewnych sytuacjach niewiedza może stać się prawdziwym błogosławieństwem.

Sam nie miał zresztą wielkiej ochoty opowiadać dziewczynie o wijach, robakowatych stawonogach, długich jak naszyjniki. O mrówkach wielkości palca. O jadowitych pająkach i węzach, zwłaszcza zaś o ogromnych pytonach i kobrach. Ani o zamieszkujących dżunglę groźnych niedźwiedziach. Ani też o rzekomo aż pięćdziesięciu sześciu gatunkach nietoperzy zalegających jaskinie na niektórych z wysp tego archipelagu. Ani też o niezliczonych rodzajach innych żyjących tu stworzeń. Ani wreszcie o krwiożerczych moskitach, które mogłyby zjeść żywcem człowieka.

Dziewczyna wyglądała inaczej niż poprzednio. Nie była umalowana. Włosy szesała gładko do tyłu i związała w koński ogon. Na głowie miała zniszczoną czapkę sportową, naciągniętą głęboko na czoło.

Tak ubrana spojrzała w lustro, gdy opuszczali apartament dla nowożeńców. Ku swemu zdumieniu Ross nie spostrzegł wówczas żadnej reakcji na jej twarzy. Bez słowa odwróciła się w stronę wyjścia i opuściła pokój.

Czy miał rację osądzając dziewczynę tak surowo? Może mylił się w ocenie? Czy Diana była rzeczywiście głupiutką i bezradną panią na wydaniu, za jaką ją uważał?

A może oprócz ładnej buzi i pary doskonałych nóg miała coś jeszcze?

W ciągu kilku godzin wspólnego przedzierania się przez dżunglę Ross przekonał się, że jest bardzo

dzielna. Że się nie poddaje i umie walczyć. Już przedtem poradziła sobie w pokoju hotelowym, wymykając się z rąk nasłanych na nią bandytów.

Za to, co się tam stało, Ross miał nadal pretensje do siebie. Powinien był wiedzieć, że uzbrojeni mężczyźni szukający Grimmera będą dysponowali rysopisem Diany. A na wyspie Port Manya nie przebywało przecież wiele młodych, ładnych i jasnowłosych kobiet.

Ostatnia noc była dla Rossa wręcz nie do zniesienia. Zapragnął nagle przespać się z dziewczyną, której wręcz nie znosił, którą pogardzał i która doprowadzała go do białej gorączki. I na dodatek była narzeczoną innego mężczyzny.

Początkowo przypuszczał, że jego zainteresowanie Dianą jest spowodowane tym, że od dawna nie miał kobiety. Ciągłe podróżował. Z jednej zapadłej dziury przenosił się do innej. Był świadkiem ubóstwa, nieszczęść i rozpaczy. Widział rzeczy straszne, od których chciało mu się płakać, a nawet wyć.

Równocześnie jednak znajdował się wśród miłych, dobrych ludzi. Przyjmowali go serdecznie i, mimo że nie wiedzieli kim jest ani skąd przychodzi, nie stawiali żadnych pytań. On sam nauczył się ich mowy, szanował zwyczaje i nikomu nie wchodził w drogę.

Ostatnie sześć miesięcy było dla Rossa okresem odkrywania prawdy o sobie. Sprawy seksualne znajdowały się poza zakresem jego zainteresowań.

Aż do wczorajszego dnia.

Przez ramię rzucił okiem na idącą za nim dziewczynę.

- Chcesz się zatrzymać i trochę odpocząć?

Diana uniosła podbródek. Oczy miała ukryte pod daszkiem czapki, ale w głosie przebijało zdeterminowanie.

- Ile czasu pozostało do świtu? - spytała.

- Godzina. Może nawet trochę mniej.

- Sądziysz, że bandyci zaczną nas gonić, gdy tylko się rozwidni?

- Tak.

- Czy odnajdą nasz ślad?

- Chyba tak.

- Jak daleko do kryjówki Simona Ha?

- Ponad trzy kilometry trudnej drogi.

- Nie.

- Co nie?

- Nie chcę się zatrzymywać na odpoczynek.

Szli więc dalej.

Mrok nocy zaczynał się powoli przemieniać w świat. Nad dżunglą zawisła poranna mgła, nadając jej niemal surrealistyczny wygląd. Chwila przechodzenia nocy w dzień stanowiła porę całkowitego spokoju i ciszy.

Oboje byli tego świadomi. W milczeniu szli dalej.

Dotarli do wodospadu. Ponownie zawiązali sobie na szyi chustki zmoczone w zimnej wodzie.

Niedługo potem spadł deszcz. Ściana deszczu w ciągu niespełna minuty całkiem przemokli. Ni miało to w gruncie rzeczy żadnego znaczenia, gdyż i tak byli już przesiąknięci potem.

Wreszcie deszcz ustał. Wyrzało słońce, a z pozycy dżungli zaczęła unosić się para.

Ross przystanął.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - oświadczył.

- Skąd wiesz?

- Bo Simon Ha powiedział: „Trzeba minąć wodospad, a potem przejść obok kwitnącego bagna - Ross wskazał na coś w rodzaju dużej kałuży pokrytej egzotycznymi orchideami - i dojść do dzikiego gaju bananowego. Stamtąd już będzie widać wysoki las *lauan*, filipińskich drzew mahoniowych. W lesie, na sześćdziesiątym kroku, jest pień drzewa przeze mnie naznaczony. To tam”.

- Czy Simon Ha zrobił ci jakiś szkic?

- Nie.

- No to skąd...?

Ross wskazał palcem na własną głowę.

- Wszystko jest tutaj. Cała mapa.

- Godne podziwu. - Chyba nie kpiła z Rossa, bo zaraz poważnym głosem spytała: - Czy to jeszcze jedna z twych technicznych umiejętności?

- W pewnym sensie.

Ścieżka nagle się rozszerzyła. Szli teraz obok siebie w stronę lasu drzew mahoniowych.

- W jaki sposób Simon Ha dowiedział się o tej kryjówce? - Diana nie przerywała marszu.

Ross zdjął chustkę z szyi i otarł nią pot z czoła.

- Chyba jest to od wielu lat pilnie strzeżony sekret mieszkańców miasteczka.

- Od dawna?

- Rodzina Simona Ha, a także inni tubylcy, ukrywali się tutaj podczas drugiej wojny światowej, kiedy oddziały wroga wylądowały na krótko na wyspie.

Oczy Diany zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Przecież musiało to być prawie pięćdziesiąt lat temu.

- Kryjówka jest jeszcze starsza. Podobno tubylcy chowali w niej swoje żony i córki przed piratami przybijającymi do brzegów wyspy w poszukiwaniu jedzenia i słodkiej wody.

- Skąd Simon Ha wie, że to miejsce jeszcze istnieje?

Z chwilą wejścia do lasu Ross zaczął po cichu liczyć kroki.

- Mieszkańcy miasteczka uważają je za święte. Każdego roku przychodzą tutaj dwukrotnie, aby modlić się do bóstw leśnych, i przy okazji wykonują wszelkie niezbędne naprawy.

- To zdumiewająca historia.

- Ale prawdziwa.



Diana utkwiała w Rossie swe złotobrazowe oczy i z przekonaniem powtórzyła:

- Prawdziwa.

Liczył na głos ostatnie kroki:

- Pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt. - Zatrzymał się w środku małej polanki i oświadczył: - Jesteśmy na miejscu.

Diana rozejrzała się wokoło.

- Nic nie widzę.

- I dobrze. Gdybyś coś dostrzegła, nie byłaby to żadna kryjówka.

- Tu są tylko drzewa. Czy jesteś pewny, że znajdujemy się we właściwym miejscu?

Ross wziął Dianę lekko za łokieć i podprowadził do bardzo grubego drzewa. Miało ponad półtora metra średnicy, gęste konary i było bardzo wysokie. Na pniu Ross dojrzał niewielkie nacięcie.

- To znak, który zrobił Simon Ha.

Zdjął plecak i wyjął z niego długą, mocną i grubą linę. Jednym jej końcem obwiązał się w pasie, a na drugim zawiązał dużą pętlę.

- Co robisz?

- Pójdę pierwszy, a potem opuszczę ci drabinkę, żebyś mogła się wspiąć na górę. Czy cierpisz na lęk wysokości?

- Nie.

- To doskonale.

Diana dotknęła lekko jego ramienia.

- Ross, gdzie właściwie jest ta kryjówka? - zapytała.

- A ja ci jeszcze nie mówiłem?

- Nie. Nie mówiłeś.

Odchylił w tył głowę zadzierając ją do góry i popatrzył na gęste wierzchołki drzew.

- Wysoko, słoneczko. Tam, gdzie drzewa stykają się z niebem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Domek na drzewie! - wykrzyknęła Diana, gdy po sznurowej drabince wydostali się na solidną drewnianą platformę zbudowaną wśród grubych i gęstych konarów drzewa mahoniowego.

Ross wciągnął na linie plecak, który zostawił na dole. Reszta rzeczy znajdowała się już w kryjówce.

- Można i tak to nazwać.

Dziewczyna ostrożnie przechyliła się przez drewnianą balustradę. Pod nią widniały gęsto splecione gałęzie.

- Nic nie widać, co dzieje się na dole.

- O to właśnie chodzi. Na tym polega kamuflaż.

- Mówiąc to Ross odwiązał linę od plecaka i zaczął ją zwijać.

- To miejsce jest jak żywcem wyjęte ze *Szwajcarskiego Robinsona*. - Rozpromieniona Diana zapomniała na chwilę o grożącym im niebezpieczeństwie i o męczącej nocnej wędrówce przez dżunglę.

- Wątpię, czy tubylcy, którzy budowali kryjówkę, mieli okazję przeczytać tę książkę Johanna Wyssa - odezwał się Ross.

- Chyba nie.

Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Diana postanowiła cieszyć się bajecznym, otaczającym ją światem, jakiego nigdy przedtem nie widziała, i zapewne nigdy nie będzie miała okazji zobaczyć.

- Popatrz. O, tutaj - szepnęła, wskazując przepięknie ubarwionego, egzotycznego ptaka, który właśnie przysiadł na pobliskiej gałęzi. Był niemal w zasięgu jej ręki.

- Scena z raju, co? Jak Adam i Ewa? - zapytał uśmiechając się Ross. - Przypominamy raczej Tarzana i Jane. - Głos jego przybrał poważny ton. - Sprawdzimy teraz, co tutaj mamy, a potem zastanowimy się, co robić dalej.

Mimo potwornego zmęczenia, które ogarnęło Dianę, wyprostowała się, szurnęła za dużymi butami, stanęła na baczność i salutując powiedziała:

- Wedle rozkazu. - Wojskowym krokiem podążyła za Rossem na inspekcję terenu.

- A więc mamy: jeden szałas - Ross wsadził głowę pod dach z liści palmowych - a w nim maty na podłodze, dzidy i wędki, a także dwie szczotki. - Odwrócił się i jedną z nich podał Dianie.

- Do czego to służy? - spytała.

- Do wymiatania.

- Wymiatania?

- Przeganiaia wszystkich stworzeń, które ucięły sobie drzemkę w szałasie.

Po plecach Diany przebiegł dreszcz, ale dzielnie powtórzyła:

- W porządku. Do przeganiaia stworzeń.

Ross ukląkł i zaczął oglądać stos metalowych pojemników ustawionych w kącie szałasu. Zdjął jedno wieczko.

- Racje żywnościowe dla żołnierzy armii amerykańskiej.

Diana zajrzała mu przez ramię.

- Armii amerykańskiej? Tutaj?

- Z czarnego rynku - wyjaśnił. - Nie będzie to luksusowe jedzenie, ale z głodu nie umrzemy. - Zatrzasnął pokrywkę.

W kryjówce na drzewie znaleźli jeszcze wiele przeróżnych rzeczy, między innymi nocnik stojący za bambusowym parawanem, a także prymitywny prysznic, nad którym znajdował się zbiornik deszczowej wody.

- Pełny komfort. Zupełnie jak w domu - stwierdził Ross, gdy skończyli inspekcję.

Tylko że to nie jest dom, uprzytomniła sobie dziewczyna. Nie ma Tarzana i Jane, uganiających się po dżungli. To nie jest zabawa. Mężczyźni, którzy próbowali porwać Dianę z hotelu, nie żartowali. To jest poważna sprawa.

Sprawa życia i śmierci.

Diana zdjęła czapkę i rękawem otarła spoconą twarz.

- Jak sądzisz, ile czasu zabierze bandytom odnalezienie nas tutaj? - spytała Rossa.

- Wystarczająco dużo.

- Wystarczająco? Na co?

- Żebym zdążył przygotować się na ich przybycie i zastawić kilka pułapek na myszy.

- Pułapek na myszy? - powtórzyła pytająco zdumiona Diana.

- No, może raczej na szczury. - Wzrok Rossa zrobił się twardy. - A jeśli będziemy mieli bardzo dużo szczęścia, to może nawet uda nam się złapać dwa wielkie szczury.

Diana położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie będziesz się niepotrzebnie narażał, prawda?

Ross dotknął palcem podbródka dziewczyny, nachylił się i wargami lekko dotknął jej ust.

- Oczywiście, że nie. Miło mi, że troszczysz się o mnie. Mam teraz dla ciebie zajęcie, a sam schodzę na dół.

- Po co?

- Przygotować niespodzianki dla niepożądanych gości.

- Niespodzianki, czyli pułapki - stwierdziła spokojnie.

- Dokładnie tak.

- Co mam robić?

Ross wyjął z plecaka szklaną fiolkę z żółtym płynem i podał ją Dianie.

- Spryskaj tym bardzo dokładnie całą naszą kryjówkę. Platformę, wewnątrz szałasu, okolice prysznicu, a nawet balustrady. Wszystko.

- Co to jest?

- Nie znam nazwy, ale wiem, że to pachnie jak mangusta.

Diana podniosła fiolkę do góry i spojrzała na nią pod światło.

- Dla kogo pachnie?

Ross zawahał się z odpowiedzią.

- Dla węży.

- Węży!

Dianie fiolka wypadła z ręki. Zdażył ją złapać w powietrzu.

- Przepraszam, słoneczko. Powinienem wyjaśnić całą sprawę wcześniej, zanim ci to dałem. Powiedz mi, jaki jest twój stosunek do węży?

Dziewczyna rzuciła mu ponure spojrzenie.

- Masz na myśli malutkie, nieszkodliwe węże, czy gigantyczne anakondy?

- Anakondy tutaj nie występują. - Ross pragnął ją uspokoić. - Żyją tylko w tropikalnych obszarach Ameryki Południowej, zwłaszcza w Amazonii.

- To brzmi pocieszająco.

- Na tych wyspach są natomiast duże pytony i kobry.

- To już nie brzmi pocieszająco.

- Większość węży omija mangusty z daleka - ciągnął Ross. - Są ich naturalnymi wrogami.

- Tak jak w opowiadaniu Kiplinga o Rikki-Tikki-Tavi?

- Właśnie tak.

- Dlaczego człowiek nie może znaleźć mangusty wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebuje? - zapytała melodramatycznie Diana i głośno westchnęła.

- Właśnie dlatego cię prosiłem, słoneczko, żebyś tą mangustową esencją skropiła całą naszą kryjówkę.

Diana wzięła fioletkę z ręki Rossa.

- Wykonam tę pracę bardzo starannie - zapewniła go solennie. - Możesz mi zaufać.

- A jak skończysz, to ugotuj nam jakieś jedzenie.

Diana spojrzała na Rossa z wyrzutem.

- Chyba nie mówisz serio. Mam to rozumieć dosłownie?

Roześmiał się głośno.

- No nie. Wyjmij tylko dwie porcje żywnościowe armii amerykańskiej.

Zaczął gromadzić przed sobą różne dziwne przedmioty: kilka zwojów liny, dzidę, kłębek cienkiego drutu, groźnie wyglądający, duży nóż i jeszcze inne drobiazgi.

- Zajrzyj do beczki. Powinna być pełna wody deszczowej. Przy beczce jest spust. Możesz wziąć prysznic.

- Na pewno okropnie wyglądam - stwierdziła spokojnie. Wydawało się nawet, że ta myśl ją bawi.

- Dla mnie wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek - oświadczył poważnie Ross.

- Wróc niedługo, proszę. - Mówiąc to Diana poczuła ucisk w gardle.

- Będę z powrotem najszybciej, jak tylko mi się uda - obiecał. Miał teraz miękki, niemal pieszczotliwy głos. - Musimy coś zjeść, a potem się przespać. Będę jednak spokojniejszy, jeśli na dole przygotuję zawnazu wszystko, co trzeba.

Diana zrobiła krok w jego stronę.

- Jeśli chodzi o ostatnią noc... - zaczęła.

- Porozmawiamy, gdy wrócę. Ja też mam ci coś do powiedzenia.

Położyła Rossowi ręce na ramionach, wspięła się na palce i przycisnęła usta do jego warg.

- Uważaj na siebie, kowboju.

- Dobrze.

- Przyrzekasz?
- Przyrzekam. - Zaczął schodzić po sznurowej drabince. - Podciągnij ją od razu, jak tylko znajdę się na dole, i nie opuszczaj, dopóki nie usłyszysz sygnału.
- Jakiego sygnału?
- Zagwiżdżę.
- Jak zagwiżdżesz?
- Jak podrywacz na dziewczynę, oczywiście.

Na dany sygnał Diana opuściła drabinkę i Ross wspiął się na górę. Oboje byli bardzo zmęczeni. Bez słowa zjedli posiłek, weszli do szałasus i od razu wyciągnęli się na palmowych matach. Niemal natychmiast zasnęli.

Działo się to w południe. Podczas najgorętszej pory dnia. Nic nie zakłócało im spokoju. Nawet zwierzęta leśne schroniły się gdzieś przed upałem.

Diana obudziła się, gdy było już ciemno. Nad głową zobaczyła nagle gwiazdy i wschodzący księżyc. To Ross musiał odsłonić otwór znajdujący się w pokryciu szałasus.

Leżała teraz bez ruchu, a łagodny powiew wiatru chłodził jej skórę. W powietrzu unosił się ciężki zapach egzotycznej, tropikalnej roślinności. Diana nie pamiętała nazw kwitnących bluszczu, oprócz jednej: *cadena de amor*, czyli łańcuch miłości.

Odwróciła się na bok i zobaczyła, że jest sama w szałasie. Podniosła się cichutko i wyjrzała na zewnątrz. Wokół było spokojnie i ciemno. Po przeciwnej stronie platformy dojrzała jakiś ruch. Wiedziała, że jest tam Ross.

Umyślnie nie włożyła butów i w samych skarpetkach podeszła bezszelestnie do niego.

- Ross...

Drgnął na dźwięk głosu dziewczyny.

- Sądziłem, że śpisz - powiedział prawie szeptem.

- Przed chwilą się obudziłam. - Popatrzyła w czeluść nocy. - Czy coś dostrzegłeś?

- Nie.

- Było ci za gorąco w szafasie?

Miał na sobie tylko szorty koloru khaki, a w promieniach księżyca połyskiwało jego wilgotne ciało.

- Przywykłem do takiej temperatury.

Diana zauważyła, że nie odpowiedział na pytanie. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Rossa. Czuła, że jest spięty.

- Myślisz o bandytach? - spytała.

Potrząsnął głową.

- Jeśli ci kretyni tutaj dotrą, nadzieją się na przeszkody. Już o to zadbałem.

Diana była zaniepokojona. Jej towarzysz wydawał się nadal czymś zaabsorbowany, zaniepokojony.

- Czy chcesz porozmawiać?

Patrzył wprost przed siebie poza balustradę. Nie odwrócił wzroku.

- Porozmawiać? O czym?

- O tym, co cię gnębi.

- Nie.

Diana nie rozumiała.

- Nie?

- Przecież nie będę, do licha, rozmawiał z tobą o takich rzeczach.

Zagryzła wargi.

Ross odwrócił twarz w stronę dziewczyny i wyraźnie zdesperowany przeciągnął ręką po włosach.

- Czy nadal nic nie rozumiesz?

Potrząsnęła głową.

- Chodzi o ciebie. Ty mnie niepokoisz. - Zatopił wzrok w oczach Diany. - Nie mam pojęcia, dlaczego, nie umiem sobie tego wytłumaczyć, ale bardzo cię pragnę.

- Ja też - odważnie oświadczyła dziewczyna.



- Jesteś pewna?

- Tak.

Ross oparł się o gruby konar drzewa i złożył ręce na piersiach. Mięśnie miał napięte jak struny. Upłynęło sporo czasu, zanim się odezwał:

- Masz narzeczonego.

Spojrzała mu prosto w twarz.

- Yale nie działa na mnie tak, jak ty.

- Czy próbował się do ciebie zbliżyć?

Potrząsnęła głową.

- Zeszłej nocy mówiłem, że nie jestem przygotowany na to, żeby się z tobą kochać.

Oczy Diany zrobiły się ogromne.

- Czy dlatego, że zbyt mało mnie pragniesz?

Nabrał do płuc powietrza i powiedział z mocą:

- Diano, przyrzekłem, że nie będę ci kłamał. Poprzedniej nocy mówiłem prawdę. Pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. Diano Winsted, pożądam cię. Chcę się z tobą kochać, połączyć tak, żeby nasze ciała zespoliły się i stanowiły jedność. Chcę być w tobie i trzymać cię blisko siebie, w chwili gdy będziesz przeżywała kolejne orgazmy. Pierwszy, drugi, trzeci...

- Chyba nie potrafię - odrzekła prawie niedo-słyszalnym szeptem.

Ross znieruchomiał na chwilę.

- Czego nie potrafisz?

- Przeżywać... orgazmu. - Pierwszy raz w życiu Diana miała na wargach to słowo. Wypowiedziała je z trudnością.

Popatrzył na dziewczynę z największym zdumieniem.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

W kącikach oczu Diany pojawiły się łzy.

- W szkole i w college'u wszyscy chłopcy nazywali mnie lodową księżniczką. Nie masz pojęcia, jakie to było przykre. Mówili tak nie tylko ze względu na mój

wygląd. Gdy próbowali mnie dotknąć, od razu cierpła mi skóra. Sztywniałam. To było okropne uczucie. Niektórzy myśleli, że tylko udaję, że ich prowokuję, więc w ogóle przestałam się spotykać z mężczyznami. Byłam wtedy cały czas przekonana, że jestem oziębła.

Głos Rossa zabrzmiał teraz łagodnie i ciepło.

- A kiedy stwierdziłaś, że nie jesteś?

- Wczorajszej nocy.

Aż go zatkało. Po chwili spytał:

- Masz na myśli całowanie się w apartamencie dla nowożeńców hotelu Paraiso?

Skinęła głową.

- Och, mój Boże, Diano! - wykrzyknął Ross. Otworzył ramiona.

Zrobiła dwa kroki ku niemu i znalazła się w jego objęciach. Trzymał ją mocno, bardzo mocno. Drżała na całym ciele. Miała wilgotną skórę.

- Czy masz pojęcie, jak ja się czuję, wiedząc, że jestem jedynym mężczyzną, który cię podnieca?

- zapytał po chwili.

- Nie. Nie wiem, ale chyba mogę się domyślać.

- Nie domyślać, lecz poczuć. - Roześmiał się głośno, gdyż jego nabrzmiała męskość wbiła się klinem między ich ciała. - Dla mężczyzny nie ma nic bardziej podniecającego niż świadomość, że on sam podnieca kobietę.

- I przeciwnie - szepnęła Diana. Po raz pierwszy w życiu poczuła satysfakcję z tego, że jest kobietą.

Ross spojrział jej prosto w oczy.

- Słoneczko, ja dosłownie nie jestem przygotowany na to, żeby się z tobą kochać. Nie mam żadnego środka ochronnego. Długo przebywam w tej części świata. Nie noszę przy sobie maleńkich pakiecików owiniętych błyszczącą folią.

Diana zrobiła się czerwona jak burak.

- Aha.

- Wczoraj nie byłem przygotowany. Dzisiaj też nie jestem.

Dziewczyna nabrała powietrza w płuca.

- Ale ja chyba jestem - powiedziała zdobywając się na odwagę.

- Przygotowana?

Skinęła głową.

- Na lotnisko odwoziła mnie koleżanka. Zawsze dziwiła się temu, że nie łączą mnie z Yale'em intymne stosunki. Nigdy nie rozmawiałam z nią na ten temat, ale chyba się domyśliła. W samochodzie uściśnęła mnie, powiedziała coś o tym, żebym „posunęła się dalej”, i do mojej torby podróżnej włożyła małe pudełeczko. Nie myślałam o tym wcale. Całym incydentem byłam bardzo speszona. Ale pudełeczko mam.

Ross przestał niemal oddychać.

- Czy chcesz, żebym sprawdziła? - spytała Diana.

- Tak. - Jego głos wibrował w powietrzu.

Poszła do szafasu, odpięła kieszeń torby podróżnej i wyjęła z niej pudełeczko. Podeszła do Rossa i położyła mu je na dłoni.

- Tak ładnie opakowane, chyba specjalnie dla kobiet.

- Aha.

- Ross, czuję się bardzo niezręcznie. Jestem zażenowana. Zupełnie nie wiem, jak należy się zachowywać w takiej sytuacji.

Ross wsunął pudełko do kieszeni w szortach. Spojrzał uważnie na Dianę.

- Mam w nosie etykietę. Czy masz ochotę kochać się ze mną?

- Chyba tak - odrzekła bezgłośnym szeptem.

- Musisz wiedzieć na pewno, słoneczko. Gdy to zrobimy, wszystko się zmieni. Nic już nie będzie tak, jak przedtem. Nie będzie odwrotu.

Pragnęła gorąco, żeby wszystko się zmieniło. Monotonne, bezbarwne i puste życie prowadziła stanowczo zbyt długo.

Podniosła głowę i z przekonaniem oświadczyła:

- Chcę się z tobą kochać. Niczego więcej nie będę wymagała. Nie będziesz miał żadnych zobowiązań. Niczym nie ryzykujesz. Wyzwoliłeś we mnie jakieś nowe, nieznane odczucia. Pragnę je poznać.

Wziął dziewczynę za rękę i zaprowadził do szałasu.

- Jest jeszcze jedna sprawa, słoneczko. Nie będę się z tobą kochał dopóty, dopóki będziesz nosiła pierścionek innego mężczyzny.

Bez słowa Diana zsunęła z palca zaręczynowy diament. Zdjęła także złotą bransoletkę z przyczepionymi do niej maskotkami. Oba przedmioty położyła na wyciągniętej dłoni Rossa. Sięgnął po leżącą obok koszulę, umieścił pierścionek i bransoletkę w kieszeni, i starannie zamknął suwak.

Ukląkł na macie. Przyciągnął do siebie Dianę i zaczął ją całować. Delikatnie i z niewypowiedzianą czułością.

Nagle panującą wokół ciszę rozdarły jakieś przedziwne, melodyjne dźwięki.

- Co to? - spytała.

- Nocny ptak. - Ross zaczął rozpinać bluzkę dziewczyny. - Śpiewa nam serenadę.

Zsunął śliski materiał z ramion Diany wraz z biustonoszem. Obnażył ją do pasa.

- Jesteś taka ładna - powiedział czule i zamknął dłonie na piersiach dziewczyny.

Zadrzała. Wyciągnęła ręce i przesunęła nimi po nagim torsie mężczyzny. Odnalazła brązowe sutki, które pod wpływem dotyku zamieniły się w twarde, sterczące guziki.

- Ty też jesteś ładny - wyszeptała.

Ross nachylił się i czubkiem języka zaczął wodzić

po piersiach dziewczyny. Była to tak niespodziewanie ostra pieśczoć, że Diana pomyślała, iż oszaleje.

- Rossie, proszę...
- Prosisz o więcej?
- Tak. Proszę. O więcej.

Całował nadal jej ciało. Coraz mocniej. Drażnił skórę. Ssał jeden naprężony koniuszek piersi i równocześnie uciskał palcami drugi. Diana odrzuciła w tył głowę, a z jej ust wydobył się przeciągły jęk.

Namiętność.

To właśnie odczucie wyzwolił w niej Ross poprze-  
dniej nocy. Prawdziwą namiętność, obezwładniającą ją całą, a zarazem sprawiającą, że zaczynała naprawdę żyć. Zapragnęła nagle mieć Rossa jak najbliżej siebie. W sobie. Chciała odczuwać jego bliskość każdym nerwem ciała. Poznawać każdym zmysłem. I robić to, czego nigdy dotychczas, nawet w najśmielszych snach, nie była w stanie sobie wyobrazić.

Gładziła ciało Rossa, czując pod dłonią stalowe mięśnie. Podziwiała jego siłę. Zdumiewała ją jego wrażliwość, jego silna reakcja na jej pieśczoć.

Sięgnął ręką do talii dziewczyny. Rozpiął suwak w dżinsach i zsunął je nieco w dół. Pod majteczkami poczuła teraz gorące palce na nagim brzuchu. Przesunął rękę jeszcze niżej.

- Poczekaj. - Diana była zmieszana. Tak bardzo wilgotne stało się jej ciało.

- Wszystko dobrze - uspokajał Ross. - Jesteś wspaniała. Cudownie na mnie reagujesz.

Pieścił ją teraz opuszkami palca. Wsuwał go powoli. Coraz głębiej. W pewnej chwili głośny krzyk Diany wdarł się w ciszę otaczającej ich nocy.

Ross zamknął wargami usta dziewczyny. Odczuwał jej nieprawdopodobną wręcz reakcję. Pobudzało go to jeszcze bardziej.

Diana wyciągnęła rękę i półprzytomnie sięgnęła *do*

szortów Rossa. Zaczęła je rozpinąć. Zorientowawszy się, że pod spodenkami jest nagie ciało, robiła to niezmiernie delikatnie.

Przesuwała dłonią po brzuchu. Sięgnęła niżej.

- Och, kochanie - jęknął Ross.

- To zdumiewające. Nigdy nie przypuszczałam, że mężczyzna może mieć tak delikatną skórę.

- Zaraz będziesz zdumiona jeszcze bardziej.

Nie wiedziała, o czym on mówi.

Próbował wyjaśnić:

- Ostrzegam, słoneczko. Lada chwila, a stracę panowanie nad sobą.

- To co za problem? - spytała nieświadoma niczego.

Jęknął głośno. Już dłużej nie był w stanie się kontrolować. Jego ciałem wstrząsnął potężny dreszcz.

Ledwie Diana go dotknęła, eksplodował jak ładunek. A powinno być inaczej, zupełnie inaczej. Ale od dawna nie miał kobiety, a ta dziewczyna była taka słodka i podniecająca...

Zaspokoi ją jeszcze, o to się nie martwił. Przed nimi cała długa noc. To przecież nie koniec, lecz dopiero początek.

- Nie masz do mnie żalu? - spytał Dianę.

Popatrzyła na niego ogromnymi oczyma.

- Żalu? Dlaczego? Bardzo mi się to podobało.

- Podobało? - powtórzył zdumiony Ross.

- Tak. Było wspaniale. Przecież sam mówiłeś, że nie ma nic bardziej podniecającego niż umiejętność podniecania.

- Tak. Rzeczywiście tak powiedziałem. - Nie czułem się najlepiej. Z taką dziewczyną nigdy jeszcze nie miałem do czynienia. - I dodam jeszcze jedno: trzeba odpłacać pięknym za nadobne.

I natychmiast zaczął demonstrować Dianie, na czym ta zasada w praktyce polega. Po paru chwilach

wiła się w jego objęciach. Uniosła biodra i pozwoliła rozebrać się do końca.

Miał przy sobie dziewczynę swych marzeń. Nic lepszego nigdy mu się dotychczas nie przydarzyło.

Sięgnął do kieszeni szortów i wyciągnął małe pudełeczko.

Przeciagnał wargami po obnażonym ramieniu Diany. Poczuł, jak całe jej ciało przeszywa dreszcz. Wsunął rękę pod pośladki i przyciągnął je do siebie. Nie chciał, by delikatna skóra dziewczyny ocierała się o twardą podłogę.

- Rossie... - szepnęła Diana.

- Zrobimy to powoli, słoneczko. Nie musimy się spieszyć. Mamy mnóstwo czasu.

Wsunął rękę między uda dziewczyny i odszukał maleńkie, najwrażliwsze miejsce na jej ciele. Diana była gorąca i wilgotna. Gotowa na jego przyjęcie. Nie potrafił czekać ani sekundy dłużej. Odczuwał słodki ból pożądania.

- Diano. Zaraz będziemy razem - szepnął dziewczynie do ucha.

- Kochaj mnie, Rossie, kochaj mnie. Teraz! - wykrzyknęła głośno.

Robił to powoli. Bardzo powoli.

- Nie wiedziałam... Nie miałam pojęcia... Nigdy w życiu sobie nie wyobrażałam... - Diana odrzucała głowę na boki.

Pozostał na chwilę w bezruchu.

- Zobaczysz, za każdym razem będzie lepiej. Coraz lepiej.

Przyspieszył. Nie był w stanie już dłużej nad sobą panować.

Diana wpijała paznokcie w jego ciało.

- Rossie! - wykrzyknęła nagle.

- Diano! - jęknął Ross sekundę później, doganiaj

Leżeli potem obok siebie bez ruchu, nieświadomi otaczającego ich świata.

Lekki powiew wiatru chłodził rozpalone ciała.

Diana spojrzała w górę. Zobaczyła niebo.

- Widzę gwiazdy. Są tak blisko. Wydaje się, że wystarczy tylko sięgnąć ręką, a dotknie się nieba.

Ja dotknąłem dziś nieba, pomyślał Ross.

- Czy kochałeś się kiedyś pod gołym niebem?

- zapytała Diana.

- Najdroższa, w ogóle nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz to robiłem.

- A więc to było dla nas pierwszy raz.

Takie stwierdzenie spodobało się Rossowi.

- Tak. Dla nas pierwszy raz. - Odwrócił się w stronę Diany i przeciągnął ręką po jej gładkiej skórze. - Nigdy nie było w moim życiu takiej kobiety, jak ty.

- Nigdy nie było w moim życiu takiego mężczyzny, jak ty.

Przesunęła dłoń po ciele Rossa. Zatrzymała ją na wysokości brzucha. Paznokciami zaczęła lekko kreślić wzory na gładkich mięśniach ud i pośladków. Po chwili ręka dziewczyny przesunęła się niżej.

- Nigdy nawet nie śniło mi się nic tak cudownego - powiedziała, zachwycona reakcją jego ciała.

- To nie sen - odparł chrapliwym głosem, gdy wszystko zaczynało się od nowa.

Jeśli to sen, pomyślał Ross z ustami na wargach dziewczyny, to nie chcę się budzić. Nigdy.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- O rany! - rozległ się zaskoczony, a zarazem rozeźlony męski głos. To jeden z bandziorów wołał do swego towarzysza: - Bolo! Gdzie jesteś? Bolo! Pomóż mi, do cholery...

Po kilku minutach dał się słyszeć inny głos, przytłumiony i pochodzący jakby z głębi ziemi:

- Nie mogę.

- Jak to nie możesz? Gdzie ty, do diabła, się podziewasz? Chodź szybko i mnie uwolnij.

Drugi bandzior, o przydomku Bolo, wyjącał:

- Nie dam rady. Nawet sobie nie mogę pomóc. Wpadłem do jakiejś piekielnej dziury.

- Dziury?

- Tak. W ziemi.

- No to wydostań się szybko.

- Nie mogę. To jama głęboka na kilka metrów. Proste kamienne ściany. Nie ma jak się stąd wydobyć. Jestem załatwiony.

- Ja też.

- A co ci się stało? - zawołał Bolo.

- Wpadłem w pułapkę.

- W pułapkę?

- Tak. Zahaczyłem o coś, co poderwało mnie d góry. Zwisam z drzewa na linie głową w dół.

- Wyjmij broń i odstrzel linę.

- Nie mogę. Pistolet mi wypadł. Leży na ziemi, al za daleko, żeby go dosięgnąć.

- No to obaj jesteście ugotowani.

- Aha.

- Co teraz zrobimy? - spytał zgnębiony Bolo.
- Nic. Musimy czekać, aż przyjdzie jakaś pomoc.

Wzeszło słońce. Dżungla nagle ożyła. Obudzone małpy rozhasały się między gałęziami. Ptaki zaczęły nawoływać się nawzajem. Mieszkańcy lasu odkryli obecność intruzów i okazywali głośne zaniepokojenie.

W podniebnej kryjówce Diana przetarła zaspane oczy.

- Co to za hałasy?

Ross, leżący obok niej na matach, wyciągnął ramiona i przytulił dziewczynę do siebie.

- Wygląda na to, że złapaliśmy na dole dwa wielkie szczury.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Mówię poważnie.

- Coś ty zrobił?

- Nic złego, słoneczko. Od tubylców na jednej z wysp nauczyłem się budować różne przemysłne pułapki. No i na studiach technicznych coś mi przecież musieli wbić do głowy. - Wzruszył ramionami.

Diana spojrzała na niego nadzwyczaj sceptycznie.

- A nie w obozie dla najemnych żołnierzy?

Ta uwaga rozśmieszyła Rossa. Instytut Technologii w Massachusetts, jedna z najlepszych amerykańskich wyższych szkół technicznych, w niczym nie przypominał ćwiczebnego poligonu dla najemników!

Diana wyraźnie się niepokoiła.

- Czy coś im się stało?

- Komu, słoneczko?

- Tym wielkim szczurom, które złapałeś.

- Wątpię. Na taki los zresztą w pełni zasłużyli. Nie zapominaj, kim są. Przecież chcieli cię porwać i Bóg wie dokąd uprowadzić.

- Nie zapominam.

Ross przeciągnął się z zadowoleniem.

- Już dawno tak dobrze nie spałem.

- Ja też.

Lekko ją pocałował.

- To zdumiewające, prawda?

- Tak. Bardzo - szepnęła.

- Niestety, już czas na mnie. Że też człowiek musi mieć ciągle coś nowego do roboty - westchnął.

- Powinienem się ubrać i zobaczyć, co dzieje się na dole.

- Jeśli złapałeś tych dwóch bandytów z hotelu Paraiso, to znaczy, że już możemy spokojnie wracać do Port Manya?

- Tak. Ale na razie zostań na drzewie. Muszę się upewnić, czy nic nam nie grozi.

- Nie pokażemy im, gdzie jest kryjówka.

- Oczywiście, że nie.

- Wezmę teraz prysznic i przygotuję coś na śniadanie.

- Pewnie to samo wyborne jedzenie, które mieliśmy wczoraj na obiad i kolację - skrzywił się Ross.

Diana uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Mój ty głuptasku, przecież wczoraj w ogóle nie jedliśmy kolacji.

Dotknął ręką brzucha.

- To dlatego jestem taki głodny.

Ubrał się szybko. Za pasek spodni zatknął potężny nóż, wziął dzidę i kilka zwojów mocnej liny.

- Co zrobisz? - Diana próbowała bluzką Loli zasłonić nagie piersi.

- Jeśli rzeczywiście złapałem naszych bandziorów, muszę się upewnić, że nie uciekną, zanim wrócimy do Port Manya i zawiadomimy sierżanta Boka. Będzie chciał ich aresztować i deportować z wyspy.

- A co stanie się z nimi potem?

- Reszta należy do władz.

Ross przrzucił sznurową drabinkę na drugą stro drzewa.

- Obejdę ich z daleka i zajdę od tyłu.
- Czy to jeszcze jedna umiejętność nabyta na studiach technicznych?

Bez słowa pocałunkiem zamknął jej usta.

- Niedługo wrócę - powiedział po chwili.

Zszedł z drzewa na ziemię.

To zdumiewające, jak trochę jedzenia, przespana noc i kochanie się ze świetną dziewczyną mogą znakomicie poprawić samopoczucie. Czuł się rześko. Wspaniale. Jak nigdy w życiu.

Idąc bezszelestnie przez las zatoczył duży łuk i znalazł się na ścieżce, którą przyszli tu wczoraj z Port Manya. Już z daleka zobaczył, że pułapki spełniły swoje zadanie. Do uwięzionych bandziorów zbliżył się lekkim, sprężystym krokiem, trzymając w pogotowiu otwarty nóż.

- Hej, człowieku! - zawołał na jego widok mężczyzna zwisający z drzewa głową w dół, z nogami w potrzasku. Poły koszuli wysunięte ze spodni odsłaniały miękki nagi brzuch. Bandyta był czerwony ze złości i od krwi, która nabiegła mu do głowy.

Nie był to estetyczny widok.

Ross przeszedł spokojnie dalej.

- Hej, człowieku! Zatrzymaj się. Potrzebuję pomocy.

Ross stanął obok wiszącego, podniósł pistolet leżący na ziemi, okręcił go wokół palca, upewniając się jednocześnie, czy nie jest naładowany. Oparł się nonszalancko o pień pobliskiego drzewa. Wyciągnął z kieszeni wykałaczkę i włożył ją między zęby. Popatrzył na wiszącego.

- Masz kłopot, kolego - stwierdził spokojnie.

Bandzior zmełł pod nosem jakieś przekleństwo.

- Co to, do cholery, nie widzisz?

- Wygląda na to, że wpadłeś w tarapaty.

- Nie tylko ja. Mój kumpel jest trochę dalej, w głębokiej jamie.

- To pewnie pułapki pozostałe po ostatniej wojnie.

Zwisający z drzewa bandyta bardzo się pocił. Woda ściekała mu kroplami po nosie.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Nie kpię. W tym lesie jest dużo takich zasadzek.

Trzeba bardzo uważać, gdzie się stawia nogi.

- Żałuję, że wcześniej o tym nie wiedziałem.

- Nie wątpię, że żałujesz.

Bandzior zaczął wpadać w panikę.

- Hej, człowieku, pomożesz nam, czy nie?

- Pewnie, że pomogę.

- Fajnie. No to odetnij mnie szybko. Wiszę już tak z pół godziny i dłużej nie wytrzymam.

- Dobrze, ale najpierw...

- Najpierw co? - wrzasnął bandzior. Nagle spojrzął uważniej na Rossa. Oczy zwięzły mu się podejrzliwie.

- Najpierw odpowiesz mi na parę pytań.

Ross podniósł z ziemi grubą gałąź i przepołowił ją jednym cięciem noża. Ostrze było jak brzytwa.

- Jakich pytań?

Ross podszedł bliżej do wiszącego gangstera i spojrział mu prosto w twarz.

- Kto to jest Carlos?

- Carlos? Jaki Carlos? Nie znam żadnego Carlosa - oświadczył. Bandyta natychmiast zaczął grać rolę głupiego. Był szybki i bystry, Ross wcale go o to nie posądzał.

- Na pewno?

- Tak. Oczywiście, że tak.

Ross wyprostował się i nagłym ruchem rzucił nożem w stronę wiszącego. Ostrze przeszło o milimetry od ucha mężczyzny i wbiło się w pobliskie drzewo.

- Jesteś w tym dobry - powiedział przerażony bandyta nie kryjąc uznania.

Obaj wiedzieli, że Ross jest w tym naprawdę bardzo dobry.

- Powiedzmy, że nie jestem zły. Wyszedłem trochę z wprawy.

- Gdybym nawet wiedział, kto to jest Carlos, i tak byś tego ode mnie nie usłyszał. Zapłaciłbym zaraz głową.

Ross zadał następne pytanie:

- Gdzie towar?

- Jaki towar?

- Wiesz dobrze, jaki. W nocy na plaży słyszałem, co mówił Carlos.

- Nic nie wiem o żadnym towarze.

Ross rozżłościł się nie na żarty.

- Ty parszywy łajdaku! - wykrzyknął. - Szukałeś go zeszłej nocy w hotelu.

Bandzior splunął z niesmakiem.

- Nie masz żadnych dowodów.

- Ta kobieta cię rozpoznała - zaryzykował Ross.

- Bzdura. Niemożliwe. Było za ciemno.

- A więc przyznajesz, że byłeś w jej pokoju?

- Do niczego się nie przyznaję.

- To ty spłodrowałeś także pokój w Manili.

- Eeee, blefujesz, kowboju. Niczego mi nie udowodnisz.

- Wcale nie muszę. Ale za to mogę wsadzić ciebie i twego kumpla na łódź i wywieźć na odległą, dziką wyspę. Do końca swych dni żaden z was nie ujrzy tam żywego człowieka.

Ross zajrzał w głąb dziury, w której siedział drugi z bandytów.

- A może ty masz mi coś do powiedzenia? - zapytał. Zwisający z drzewa mężczyzna wrzasnął głośno:

- Morda w kubeł, Bolo, bo popamiętasz!

Bolo spojrział w górę na stojącego nad nim Rossa i wykrzywił się z wściekłością.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Hej, człowieku - zaczął znów pierwszy z bandytów, tym razem łagodniejszym tonem - nic nie wiemy, jesteście niewinni. Odetniesz mnie wreszcie?

- Może.

- Może?

- Jest jeden problem. Rozwścieczyliście mnie nie na żarty. Niepokoiiliście moją kobietę.

- Masz na myśli tę szykowną blondynkę? Żaden z nas nie wiedział, że to twoja kobieta.

- Teraz już wiecie. - Głos Rossa jak brzytwa ciął powietrze. - Jeśli jeszcze raz znajdziecie się w jej pobliżu, to tym nożem wytnę wam serca, potnę na kawałki i rzucę na pożarcie szczurom wodnym. Jest ich mnóstwo w Cotabato. Po raz pierwszy widziałem tam na własne oczy jak te bezlitosne bestie zjadły żywcem człowieka.

- Hej, panie. Przymkamy. Do twojej kobiety nigdy więcej się nie zbliżymy. Przysięgam na głowę matki.

Ross zajął się mężczyzną zwisającym z drzewa. Za plecami związał mu mocno obie ręce, odciął linę i doprowadził go na skraj jamy, w której tkwił drugi z bandytów.

- Wskakuj.

- Przecież...

- Wskakuj.

- Przecież miałeś przeciąć linę.

- Przeciąłem. - To mówiąc Ross ściągnął sznur, którym dopiero co związał ręce mężczyzny, i zepchnął go w dół.

Popatrzył na obu.

- Radzę wam, żebyście zmienili zawód i wynieśli się na drugi koniec ziemi.

- Jak wyjdę stąd żywy - jęknął jeden z bandziorów - to zaraz wrócę do matki.

- Ja pojedę do Południowej Ameryki - zaklinał się drugi.

- Chyba niezły pomysł. Obawiam się, że będziecie dziś mieli długi i gorący dzień. Przed zapadnięciem zmroku powinien zjawić się tutaj sierżant Bok ze swoimi ludźmi. Zajmie się wami. Adios, panowie.

Okrężną drogą Ross wrócił do leśnej podniebnej kryjówki.

Diana była ubrana w ten sam dziwaczny, lecz wzruszający strój, co poprzedniego dnia, z płócienną czapką wciśniętą głęboko na czoło. Spakowała swoje rzeczy. Zdażyła uprzątnąć platformę i szafas. Przygotowała jedzenie.

- Cały ranek, kochanie spędziłam pochylona nad rozżarzoną piecem przygotowując dla ciebie to wyszukane śniadanko - zażartowała wręczając Rossowi czarnorynkową rację żywnościową przeznaczoną dla żołnierzy armii amerykańskiej.

Bez słowa rzucił się jak wilk na jedzenie. Był potwornie głodny.

- Złapałeś coś na dole? - spytała Diana.

Kiwnął głową.

- Dwa goryle?

- Aha.

- Nie zrobiłeś im chyba krzywdy?

- Oczywiście, że nie. - Roześmiał się głośno.

- W bardzo sympatycznym miejscu posiedzą sobie i poczekają, aż sierżant Bok ich zabierze. - Skończył jeść. - Czy jesteś gotowa, żeby wrócić do cywilizacji?

Dziewczyna rozejrzała się wokoło.

- Chyba tutaj już nie wrócimy - powiedziała z prawdziwym żalem w głosie.

- Raczej nie.

- Nigdy tego miejsca nie zapomnę.

- Ja też - dodał Ross. - Bo tu, gdzie korony drzew stykają się z niebem, jest z pewnością raj.



- Nie.

- Nie?

Oczy Diany rozbłysły jak dwa złote ogniki.

- Raj jest w twoich ramionach.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Nadal nic nie rozumiem - powiedział Ross, gdy po raz ostatni skończyli przeszukiwać rzeczy należące do Diany. - Sprawdziliśmy przecież każdą, nawet najmniejszą szmatkę, którą ze sobą przywiozłaś, każdy świstek papieru, każdy dokument. Przejrzeliśmy także wszystkie rzeczy Grimmera. I nie udało się znaleźć niczego, co mogłoby być tym diabelskim towarem.

- Ja również zupełnie nie pojmuję, o co może chodzić - rzekła Diana odrzucając na plecy rozpuszczone włosy. - Czy na pewno dobrze zrozumiałeś to, o czym wtedy mówili ci dwaj mężczyźni na plaży?

- Tak. O pomyłce nie może być mowy.

- Wygląda na to, że tej zagadkowej sprawy nie rozwikłamy. - Wzruszyła bezradnie ramionami.

Nieudana próba zidentyfikowania towaru, na którym tak bardzo zależało bandytom, była zaledwie jednym z nie rozwiązanych problemów w jej życiu. Ostatni tydzień obfitował w wydarzenia, i to tak istotne, że cała dotychczasowa, spokojna i uładzona egzystencja dziewczyny rozpadła się nagle jak domek z kart.

Przyleciała na Filipiny z drugiego końca świata, żeby spotkać się z narzeczonym, a ten w przeddzień jej przyjazdu wybrał się w tajemniczą podróż służbową. Na lotnisku czekał na nią zwariowany najemnik i ostrzegął o grożącym niebezpieczeństwie. Poleciała nędznym samolotem na odludną wyspę na morzu Celebes, gdzie poznała parę barwnych miejscowych postaci. Występowała tam jako żona Rossa. Próbowali

uprowadzić ją bandyci. Spędziła cudowną noc w domku na drzewie i kilka następnych, równie wspaniałych, w apartamencie dla nowożeńców w hotelu Paraiso.

I teraz znalazła się znów w punkcie wyjścia: w Manili, gdzie zaczęły się wszystkie przygody i gdzie teraz musiała powziąć decyzję, co dalej z sobą robić.

- Pewnie nigdy się nie dowiemy, czego bandyci u mnie szukali. - Diana wyciągnęła się na sofie w saloniku swego apartamentu w hotelu Manila.

- A może jednak się uda. - Ross przysunął się do niej i zaczął delikatnie masować jej obolałe, bose stopy. - W jakim stanie są twoje nogi? - zapytał.

- Po przejściu tylu kilometrów przez dżunglę w buciskach od Simona Ha już nigdy nie będą takie same, jak poprzednio - stwierdziła rzeczowo.

I ona także nie będzie taka sama, jak poprzednio. Oba te fakty nie miały jednak nic z sobą wspólnego.

- Gdy wrócę do Stanów, kupię natychmiast jakieś wygodne buty lub specjalne sandały, które importuje się ze Szwecji, bo są podobno bardzo zdrowe.

- Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć kobiet noszących pantofle na szpilkach. Przecież to czysta tortura - powiedział Ross potrząsając głową.

- Próżność.

- „Próżności, nazwisko twoje: kobieta.”

Poprawiła go.

- Ten cytat brzmi inaczej. O tak: „Słabości, nazwisko twoje: kobieta”.

- *Z Makbeta!*

- Nie, z *Hamleta*\*.

- Zdałem sobie nagle sprawę z tego, że mało o tobie wiem - odezwał się Ross.

- Rzeczywiście niewiele.

- Nie mam pojęcia, jaką skończyłaś uczelnię. Co studiowałaś. Jaki jest twój ulubiony kolor. Twój ukochany kwiat. Nie wiem nawet, jaka muzyka najbardziej ci odpowiada.

- Uniwersytet stanu Michigan. Literatura angielska. Jasnoniebieski. Bez. Muzyka klasyczna, czasami rock - odpowiedziała jednym tchem. - A ty?

- Instytut Technologii w Massachusetts. Elektrotechnika. Blond. - Tu uśmiechnął się, zadowolony. - Chyba różę. Muzyka country, czasami rock.

- Idealnie do siebie pasujemy - powiedziała Diana z nieco wymuszonym uśmiechem.

Ross spojrział na nią uważnie.

- Pod pewnymi względami.

- Pod pewnymi względami - przyznała.

- Jeszcze nigdy tak nie rozmawialiśmy.

- Nie rozmawialiśmy.

- Chyba byliśmy zbyt zajęci skakaniem z wyspy na wyspę.

- I uciekaniem przed bandytami - dodała.

- I kochaniem się z sobą.

- I kochaniem się z sobą - przełknąwszy ślinę powtórzyła Diana.

Agatowe oczy Rossa nagle rozbłysły.

- Masz ochotę na wspólną noc? - zapytał.

- Tak. - Diana bardzo się starała, żeby odpowiedź wypadła beznamiętnie.

- Zamówimy kolację do pokoju?

- Dobrze.

- Będziemy jeść, a potem rozmawiać.

- I rozmawiać? - spytała z lekkim powątpiewaniem.

- Przysięgam. - Nie było powodu, żeby mu nie wierzyć. - U ciebie czy u mnie?

Było to zresztą bez większego znaczenia. Pokój Rossa znajdował się na tym samym piętrze, co Diany.

- U mnie - zdecydowała. - Ale najpierw chcę się wykapać i przebrać.

- Sądzę, że prysznic i ogolenie się nie zaszkodzą mi - odrzekł Ross podnosząc się z kanapy. - Za pół godziny?

- Za godzinę. - Podała mu klucz. - Weź. Potem sam sobie otworzysz.

Wychodząc dotknął wargami ust dziewczyny.

- Wrócę - zapowiedział.

- Zawsze tak mówisz. - Głos Diany był lekko zachrypnięty.

- I zawsze wracam.

Co dla człowieka pokroju Rossa St. Claira oznacza „zawsze”? Diana zadawała sobie to pytanie przygotowując gorącą kąpiel.

Czy ma jakieś perspektywy związek z mężczyzną, który przenosi się ciągle z miejsca na miejsce? Który z absolutną beztróską traktuje życie? Który nie zastanawia się nad przyszłością? I który cały swój ziemski dobytek mieści w jednym płóciennym, wysłużonym plecaku?

- Ross należy do gatunku mężczyzn zupełnie dla ciebie, moja droga, nieodpowiednich - powiedziała głośno do siebie.

Ale, mimo że to było z pewnością nieodpowiednie, sama czuła się przy nim doskonale. Było cudownie, gdy ją całował i pieścił. Kiedy kochali się z sobą, znajdowała się w siódmym niebie.

To jeszcze nie wszystko.

Diana nauczyła się szanować Rossa, podziwiała jego refleks, dowcip, inteligencję i prawość. Uważała go za człowieka honoru. Niestety, był także bezlitosny i twardy. Zdolny do gwałtownego działania, a nawet zemsty. Wykazywał cechy niepożądane, a mimo to Diana poddała się jego nieodpartemu urokowi.

- Niech to wszyscy diabli - powiedziała do siebie zanurzając się w pachnącej pianie.

Co powinna zrobić?

W każdym razie nie powinna wychodzić za mąż za Yale'a Grimmera. Gdy tylko wróci sama do Grosse Pointę, będzie musiała szybko odkręcić to wszystko, co z takim trudem przez wiele miesięcy planowała i organizowała. Odwołać ślub i wesele, a więc zawiadomić księdza i wycofać rezerwację sal w klubie ziemiańskim. Pozbyć się sukni ślubnej. Zniszczyć, najlepiej podrzeć na drobne kawałki, wydrukowane i zaadresowane zaproszenia.

- Moja kochana, wszyscy uznają, że zwariowałaś - powiedziała znów głośno do siebie. I zaraz dodała:  
- No to co? - Bywają rzeczy znacznie gorsze, pomyślała z pewną ulgą.

Koszta odwołania wesela, które miało być nie byle jakim wydarzeniem towarzyskim, będą duże. Ale na to ją stać. Nie stać jej natomiast w żadnym razie na poślubienie niewłaściwego mężczyzny. Na taki krok nie może sobie pozwolić.

Wzięła grubą bawełnianą ściereczkę, zamoczyła w gorącej wodzie i przyłożyła do twarzy.

Czuła się teraz wspaniale.

Niekiedy na szczęście w życiu składają się różne drobne, całkiem przyziemne przyjemności. Gorąca woda do mycia. Czyste ubranie. Wygodne buty. Przyzwoite jedzenie. Klimatyzacja. Sprężysty materac. Środek przeciwko insektom. Woda zdatna do picia. To zaledwie kilka z tych rzeczy, których istnienia już nigdy więcej nie będzie przyjmowała za naturalne, przysięgła sobie Diana.

Straciła poczucie czasu. Chyba nawet zdrzemnęła się w wannie. W pewnej chwili poczuła chłód stygnącej wody. Wyciągnęła korek, sięgnęła po ręcznik i wyszła z wanny.

Włożyła szlafroczek i bosą przeszła do sypialni. Usiadła przy toalecie i zaczęła rozczesywać wilgotne włosy. Znowu przypomniała sobie, jak dobrze było kochać się z Rossem. Niczego nie żałowała.

Nie potrafiła jednak w żaden sposób wyobrazić sobie jednej rzeczy: przyszłości z Rossem St. Clairem. A czy potrafi wyobrazić sobie życie bez niego?

Była to niewesoła myśl.

- Oj, Diano, wpadłaś w tarapaty - powiedziała głośno do siebie. - I co teraz zrobisz?

- To zabawne, że ty to mówisz, moja droga. Właśnie w tej chwili sam dokładnie tak pomyślałem.

- Za plecami Diany rozległ się znajomy głos.

Odwróciła się w stronę drzwi i zamarła. Po chwili nieswoim głosem wykrzyknęła:

- Yale!

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Yale Grimmer wyglądał jak zwykle. Wysoki. Przystojny. Ciemne włosy i brązowe oczy. Wypor-towana sylwetka. Grał w obronie w studenckiej drużynie piłki nożnej.

Diana spodziewała się zobaczyć w nim jakąś zmianę. I nagle uprzytomniła sobie, że to przecież ona się zmieniła.

Wstała z krzesła i odruchowo zacisnęła pasek od szlafroka. Narzeczony stał w drzwiach sypialni i czekał, aż Diana do niego podejdzie.

Przeszła przez pokój, zatrzymała się przed Yale'em, złożyła na jego policzku chłodny, powitalny pocałunek i powiedziała: „Cześć” niemal równocześnie kierując się ku salonikowi, pewna, że gość za nią podaży.

Było nie do pomyślenia, żeby dżentelmen przebywał w buduarze damy, jeśli nawet był z nią zaręczony. Grunt to pozory. Nie ma to jak dobre maniery.

Yale Grimmer zawsze zachowywał pozory i przestrzegał skrupulatnie dobrych manier.

- Poczekam, aż się ubierzesz - oświadczył.

Diana rzuciła okiem na swój szlafroczek. Wyglądała w nim nadzwyczaj skromnie.

- Jestem ubrana. Przyzwoicie.

- Gdzie byłaś? - Ściągnął brwi. Miał wyraźnie niezadowoloną minę.

- Brałam kąpiel - odparła łagodnie.

- Nie chodzi mi o ostatnie pięć minut. - Oczy Yale'a nagle się zwężyły. - Gdzie, do diabła, podziewałaś się przez ostatnie pięć dni?



- A gdzie, do diabła, ty się podziewałeś w tym czasie? - Nigdy jeszcze Diana tak z Yale'em nie rozmawiała.

Ostra reakcja dziewczyny speszyła go, ale tylko na chwilę.

- Ja? Ciężko pracowałem. Robiłem co mogłem, żeby zapewnić nam obojgu dostatnią przyszłość. Wiesz przecież, jak bardzo odpowiedzialna jest moja praca. Kieruję operacjami naszej korporacji w Azji i na obszarze Pacyfiku.

- Wiem doskonale. - Yale często o tym przypominał.

Popatrzyła uważnie na mężczyznę, który miał stać się niebawem jej mężem. Nie stwarzał poczucia bezpieczeństwa. Był nudny. Obiektywnie przystojny, lecz bez wyrazu. Twarz nie odzwierciedlała ani charakteru, ani siły, ani też żadnych namiętności.

Wyglądał teraz tak, jak powinien wyglądać biznesmen przebywający w tej części świata. Miał na sobie brązowe spodnie, ciemnobrązowe buty i białą koszulę. Mimo panującego gorąca wyglądał nieskazitelnie. Był bezbłędnie ostrzyżony i uczesany. Idealnie ogolony. Z lekką opalenizną na twarzy wyglądał jak typowy amerykański schludny chłopiec.

Nie chłopiec, lecz mężczyzna, poprawiła się w myślach Diana. I w tym momencie uprzytomniła sobie, że zasadnicza różnica między Yale'em a Rossem jest właśnie taka, jak między chłopcem a mężczyzną. Mimo że obaj mieli po trzydzieści kilka lat.

Nagle przyszło jej coś do głowy.

- Jak się dostałeś do mego pokoju? - Pamiętała, że po wyjściu Rossa zamknęła drzwi.

- Otworzyłem. - Pokazał jej klucz. - Ten apartament został wynajęty oficjalnie przez naszą korporację. Pukałem. Kilka razy. Widocznie nie słyszałaś.

Kłamał.

Diana miała niemal pewność, że nikt do drzwi nie stukał.

- Mam ochotę na drinka przed kolacją. - Mówiąc to Yale podszedł do barku. - Zrobić ci coś do picia?

- Nie. Dziękuję. - Diana czuła, że dzieje się coś niedobrego. Chciała mieć jasny umysł.

Yale nalał sobie whisky, dolał do szklanki trochę wody sodowej i rozsiadł się na kanapie. Miał minę właściciela. Świata, tego apartamentu i Diany. Dokładnie w takiej kolejności. Siłąc się na łagodny ton zapytał:

- No więc, gdzie byłaś?

- Jeśli ci powiem, to i tak nie uwierzysz - mruknęła pod nosem.

- Jak ty ze mną rozmawiasz? To do ciebie niepodobne - skonstatował z wyraźnym niesmakiem.

- Widocznie się zmieniłam.

- Przecież byłaś, jak trzeba. Idealna.

- Idealna panna na wydaniu. Idealna żona biznesmena.

- Właśnie tak.

- A jako kobieta?

Yale spojrział na nią spod oka. Nie miał pojęcia, o co może chodzić Dianie.

- Nie widzieliśmy się od prawie trzech miesięcy. To dużo czasu - stwierdziła. Jednym ruchem ręki odgarnęła włosy do tyłu.

- Wolałem cię z upiętymi włosami - oświadczył popijając wolno whisky.

- Teraz najchęćniej noszę je rozpuszczone.

Nie podtrzymał tego tematu i ze źle ukrywaną niecierpliwością powiedział:

- Mów wreszcie, gdzie byłaś.

Diana podniosła głowę.

- Tak jak sobie życzyłeś, poleciałam na wyspę Port Manya.

Twarz Yale'a poczerwieniała.

- Byłaś na Port Manya? - zapytał zdumiony.

- Tak. I zatrzymałam się w hotelu, w którym miałeś na mnie czekać.

- Niemożliwe. Powiedziano mi, że żadna Diana Winsted się nie zgłosiła.

Och! Dla Diany nie był to bezpieczny grunt.

- Ale gdy ja pytałam o ciebie, usłyszałam, że natychmiast po przyjeździe wyszedłeś pożyczyc łódź od rybaka i od tamtej pory nikt cię więcej nie widział - powiedziała szybko.

- Musiałem załatwić sprawy nie cierpiące zwłoki. Kiedy wróciłem, ciebie nie było. Utrudniasz mi życie, Diano. - Zamiast przeprosin, których oczekiwała, w głosie Yale'a zabrzmiała uraza.

Miała już po uszy całej tej rozmowy.

- Ty też mi skomplikowałeś życie, zmuszając do bezsensownej podróży na tę wyspę. - Uznała, że już najwyższy czas, aby przejść do sedna sprawy. - Yale, mam do ciebie pytanie.

Spojrzał na nią znad trzymanej przy ustach szklanki.

- Słucham.

- Kto to jest Carlos?

Zakrztusił się nagle. Krople bursztynowego płynu znalazły się na nieskazitelnie białej koszuli.

- Nie znam żadnego Carlosa.

Nie umiał dobrze kłamać.

- A o jaki towar chodzi? - pytała szybko dalej.

Tym razem Yale nie potrafił ukryć zaskoczenia. Zrobił się purpurowy.

- Co do chole..? - Odstawił szklankę i skoczył na równe nogi. - Skąd się o tym dowiedziałaś?

Spojrzała na niego z chłodną wyższością.

- To długa historia.

- Mów. Mamy dużo czasu.

Mieli mniej czasu, niż to sobie wyobrażał. Diana zaczerpnęła powietrza.

- Wszystko zaczęło się, kiedy Ross...

- A kim, do diabła, jest Ross?

Tego już było stanowczo za dużo. Muszę wreszcie potraktować Yale'a tak, jak na to zasługuje, postanowiła.

- Najemnik, który próbował mnie poderwać na lotnisku w Manili.

- Mój Boże, co się z tobą stało! - jęknął Yale. Wyglądał na człowieka do głębi wstrząśniętego.

- Stało się więcej, niż będziesz w stanie to sobie kiedykolwiek wyobrazić - odrzekła patrząc mu w oczy.

- Lepiej, jeśli usiądziesz. Wyglądasz na lekko zszokowanego.

- Wolę stać - warknął.

Wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

- No więc ten najemnik czekał na mnie. Najpierw sądziłam, że to ty go przysłałeś, ale potem okazało się, iż przyjechał na lotnisko po to, aby mnie ostrzec przed grożącym niebezpieczeństwem.

Tego już było za wiele dla Yale'a.

- Chyba jednak usiądę.

Cała ta sytuacja zaczynała bawić Dianę.

- Najpierw nie uwierzyłam i zagroziłam, że jeśli nie da mi spokoju, zacznę wzywać pomocy.

- Mój Boże! I to wszystko działo się w biały dzień na ruchliwym lotnisku!

- Nie było tak strasznie, jak można by sądzić z mego opowiadania. - Oczy dziewczyny zabłyśły wesoło. - Nie uwierzyłam ani jednemu słowu.

- Mam nadzieję, że nie.

- Dopiero potem.

- Potem? - Yale podniósł głowę.

- Tak. Bo kiedy poszłam do hotelu na górę, zobaczyłam, że mój pokój został splądrowany.

- Zawiadomiłaś ochronę hotelową lub policję?

- Nie. Ross mnie przekonał, że byłoby wówczas

zbyt wiele formalności i zwracania głowy. Postanowiliśmy sami sprawdzić, co zginęło.

- No i?

- Złodzieje nie zabrali niczego. Dosłownie niczego. To było bardzo dziwne.

- Rzeczywiście.

- A kilka minut później miałam telefon od ciebie.

- Na Boga, Diano, dlaczego mnie nie ostrzegłaś? Czemu nie powiedziałaś, co się stało?

- Połączenie było fatalne. Ledwie cię słyszałam. Zresztą byłeś tak daleko...

- Ty idiotko! Ty cholerna idiotko! - Nie wytrzymał. Diana sądziła, że pewnie się przesłyszała.

- Czy coś mówiłeś?

- Nic. - Był wściekły.

- Następnego ranka, tak jak prosiłeś - ciągnęła niewzruszenie - pojechałam na lotnisko, żeby lecieć na Port Manya. Ross wybrał się ze mną.

- Prosiłeś go o to?

- Oczywiście, że nie. Zobaczyłam go dopiero w samolocie.

- Ten facet zaczyna mi się bardzo nie podobać.

- W Port Manya nie zastaliśmy ciebie, więc Ross uznał, że powinniśmy udawać małżeństwo.

Yale zerwał się jak oparzony.

- Co takiego?!

- To nie był zły pomysł. Ross chciał mnie w ten sposób chronić. Ludzie w Port Manya są bardzo konserwatywni. Widząc podróżującą samotnie kobietę, mogliby sobie pomyśleć, że... Traktowaliby mnie... podejrzliwie.

- Ten facet to oszust. - Yale popatrzył na Dianę takim wzrokiem, jakby sądził, że postradała zmysły.

- Nie powiesz mi przecież, że zamieszkałaś z nim w jednym pokoju?

Diana wyprostowała się i z największą godnością, na jaką było ją stać, odrzekła:

- Zamieszkałam.

Zbliżył się i złapał ją za rękę.

- Czy to wy byliście tą amerykańską parą w apartamencie dla nowożeńców?

- Tak.

- Spałaś z nim?

- To zdumiewające, że mężczyźni tym się przede wszystkim interesują.

- Czym?

- Seksem.

- Seksem? - W głosie Yale'a przebijała prawdziwa wściekłość.

- Tak. O to samo już na początku zapytał mnie Ross.

- Ten łobuz miał czelność zadać ci takie pytanie?

- Tak.

- Odpowiedziałaś mu?

- Nie od razu. Ale się domyślił. Niektórzy mężczyźni mają szósty zmysł. Instynkt.

- I on to ma?

- Tak. W niesamowitej wprost ilości - oświadczyła rozpromieniona Diana.

- I pomyśleć, że tak cię szanowałem. Ubóstwiałem. Wyniosłem na piedestał.

- Brednie. - Tym jednym słowem skwitowała całą tyradę.

I nagle zdała sobie sprawę z tego, jaki naprawdę jest Yale. Próżny. Egocentryczny. Nieszczery.

- Kompletnie się zmieniłaś - stwierdził sucho.

- Tak. Dzięki Bogu.

- Spałaś z tym najemnikiem?

- Tak.

- Z własnej i nie przymuszonej woli?

- Oczywiście, że tak.

- A to skur... - Rysy twarzy Yale'a zrobiły się twarde i wręcz brzydkie. - Zadurzyłaś się w tym łajdaku?

- Ross nie jest żadnym łajdakiem. Jest inżynierem, chwilowo bez pracy - oświadczyła z godnością, nieco bez związku.

- Zakochałaś się we włóczędze. Facecie, który nic nie robi. Bez pieniędzy. Postradałaś rozum?

- Być może.

- Robisz błąd.

- Więszym błędem byłoby poślubić ciebie.

- Nasze małżeństwo jest wykluczone.

- Mam nadzieję.

- Diano, do licha, jak mogłaś mi zrobić coś takiego?

- To nie ma z tobą nic wspólnego - oświadczył sucho. - Takie rzeczy się zdarzają. Oczywiście pierścionek zaręczynowy ci zwrócę.

Yale spojrział odruchowo na rękę dziewczyny.

- A gdzie go masz? - zapytał ostro.

- Nie mam? Och, poczekaj, niech pomyślę. Kiedy to ja go zdjęłam?

- Nawet nie pamiętasz - stwierdził z furją.

Oczywiście, od razu sobie przypomniała. Zdjęła pierścionek w podniebnej kryjówce i wraz z bransoletką Ross włożył go do kieszeni koszuli.

Wargi Yale'a posiniały.

- A gdzie jest bransoletka z maskotkami, którą ci dałem?

Diana poczuła się nagle zagrożona. Postanowiła być ostrożna.

- Nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Zwróć mi ją.

- To był przecież prezent urodzinowy.

- Nieważne. Natychmiast ją oddaj. Musisz. Po tym, co zrobiłaś.

To nie mógł być powód. Z jakiegoś względu Yale nie mówił prawdy.

- Już jej nie mam. - Wzruszyła ramionami.

W okamgnieniu Yale znalazł się znów przy dziewczynie.

- Nie masz?

- Nie mam.

- Ty ostatnia kretynko! To o bransoletkę cały czas chodziło!

- Nie rozumiem. Wyjaśnij mi, proszę.

- Towar. Ten cholerny towar - już niemal krzyczał - był przyczepiony do tej bransoletki, ty głupia dziwko!

Wpadł w prawdziwy szal.

- Co za towar? - Diana zaczęła się denerwować.

Sypnął przekleństwami, jakich nigdy jeszcze nie słyszała.

- Za ćwierć miliona dolarów.

- Co takiego?

- Jedną z maskotek była moneta.

- Rzeczywiście. - Diana nigdy jej specjalnie nie lubiła.

- Prawdziwy unikat. Dla kolekcjonera wart co najmniej ćwierć miliona dolarów.

Dziewczyna przeraziła się nie na żarty.

- Yale! Coś ty zrobił?

Zaczął nią gwałtownie potrząsać.

- Jeśli nie dostanę tej bransoletki, to zginę!

Od drzwi, za ich plecami, rozległ się nagle stalowy głos:

- I tak zginiesz, Grimmer, jeśli natychmiast nie puścisz mojej kobiety!



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Twojej kobiety?

- Tak. Mojej kobiety. - Rossowi spodobały się te słowa. Miał ochotę powtórzyć je jeszcze raz.

Yale Gimmer opuścił ręce, odsunął się szybko od dziewczyny i z nie ukrywanym zdumieniem przeniósł wzrok z intruza z powrotem na Dianę.

- Ten facet to prawdziwy neandertalczyk. Gdzie go wytrzasnąłeś?

- Już ci mówiłam - powiedziała z poważną miną.

- Na lotnisku.

Mało brakowało, żeby Ross St. Clair głośno się roześmiał. Stojąc w drzwiach pokoju był świadkiem niemal całej rozmowy Diany z Yale'em Grimmerem. Dziewczyna trzymała się bardzo dobrze. Wręcz doskonale. Pozostało jednak jeszcze parę spraw do wyjaśnienia.

Z groźną miną Ross zrobił krok w stronę Grimmera.

- Ja przynajmniej wiem, jak troszczyć się o to, co do mnie należy. Nie zasługujesz na taką kobietę, jak Diana.

Biznesmen w brązowych spodniach i białej koszuli wykrzyknął:

- A ty zasługujesz?

Ross postąpił jeszcze jeden krok naprzód.

- Nie mam zwyczaju wykorzystywać kobiet. Nie posłużyłbym się Dianą jako kurierem. Nie narażałbym jej życia dla nędznej ćwierci miliona dolarów.

- Narażał moje życie? - powtórzyła dziewczyna.  
- Nigdy nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo  
- zaprzeczył Yale, nerwowo przesuwając językiem po zaschniętych wargach.

- Ty wstrętny tchórze, ty parszywy łotrze, ty...  
- Ross przerwał i uśmiechnął się przepaszająco do Diany. - Ze względu na obecność damy nie powiem, co myślę o tobie. Za to, co zrobiłeś, powinienem cię zatłuc. Byłem tam i słyszałem każde słowo, więc nie kłam. - To mówiąc podszedł jeszcze bliżej do Grimmera.

Yale cofnął się odruchowo.

- Co masz na myśli mówiąc, że tam byłeś?

Ross zatopił w Grimmerze stalowy wzrok.

- Byłem nad brzegiem morza tamtej nocy. Słyszałem twoją rozmowę z Carlosem. Groził Dianie. - Ross zaczął naśladować zachrypnięty głos człowieka z plaży:  
- Jeśli nie dostaniemy towaru pod koniec tygodnia, to ta Winsted zapłaci swoją śliczną głową.

Grimmer zrobił się błąd jak ściana.

- Mój Boże! Słyszałeś! - jęknął głośno. - Byliśmy pewni, że jesteśmy bezpieczni.

- Po to przecież wynajęli uzbrojonych zbirów, żeby was pilnowali.

- No to w jaki sposób... - Grimmer nie mógł pojąć, skąd Ross zna treść jego rozmowy z Carlosem.

- Jak ci to się udało?

- Przecież jest najemnikiem - do rozmowy włączyła się Diana.

Grimmer rzucił okiem w jej stronę.

- Mówiłaś przecież, że jest inżynierem, chwilowo bez pracy.

Podniosła godnie czoło i niewzruszonym głosem wyrecytowała:

- Przeciętny Amerykanin i przeciętna Amerykanka zmieniają swe zawody co najmniej trzy razy w życiu.

- Mam więc co najmniej jedną zmianę fachu przed sobą. Kto wie, kim jeszcze będę? - odezwał się Ross.

- Kimkolwiek tylko zechcesz. - W głosie Diany przebijało bezgraniczne zaufanie.

- Dziękuję ci, słoneczko - powiedział Ross.

- O rany. Do czego to doszło - mruknął Yale.

Ross zwrócił się teraz do Grimmera:

- Obecna tu dama zadała ci pytanie, na które nie odpowiedziałeś.

- Nie wiem, o co chodzi.

- To ci przypomnę. Kto to jest Carlos?

- Nie znam żadnego Carlosa - zduszonym szeptem odpowiedział Yale.

Ross zaczął się śmiać.

- To samo mówili dwaj bandyci, których złapałem w dżungli. Jestem jednak przekonany, że Bolo zacznie mówić na widok...

Grimmer przełknął ślinę i słabym głosem zapytał:

- Na widok czego?

- Chyba chodzi o szczury wodne - odrzekł Ross jakby po chwili zastanowienia.

- Szczury wodne? - powtórzył pytająco Grimmer.

- A może o mój nóż.

- Co?

- Nie muszę się przechwalać przed tobą, Grimmer, ale w rzucaniu nożem jestem naprawdę dobry. Może jeszcze kiedyś to ci zademonstruję.

Diana spojrzała z wyrzutem na Rossa.

- Chyba nie zrobiłeś nic złego tym dwóm ludziom, których złapałeś w dżungli?

- Przyrzekłem ci przecież. - Ross poczuł się urażony.

- Wiem. Ale czasami, kiedy się zezłościś, potrafisz się zapomnieć. - Dotknęła ręką jego ramienia.

- Tym razem się pilnowałem. Powiedziałem, że nie zrobię im krzywdy... - tu zatrzymał się i po chwili uczciwie dodał: - i nie zrobiłem im... większej.

- Co uczynili ci ludzie? - spytał Grimmer.

- Niepokoili moją kobietę.

- Usiłowali uprowadzić mnie z hotelu Paraiso.

Wygląda na to, że szukali twojego towaru - wyjaśniła Diana. Po chwili namysłu dodała: - Mam nadzieję, że sierżant Bok w porę ich odnalazł.

Yale Grimmer wyglądał na zupełnie skołowanego.

- A kto to jest sierżant Bok? - zapytał nerwowo.

- A kto to jest Carlos? - odparował Ross.

- Tego nie mogę powiedzieć.

- Ja też ci niczego nie wyjaśnię.

Yale Grimmer spojrział błagalnym wzrokiem na Dianę.

- Pomóż mi, na litość boską!

- Przykro mi, ale nie mogę. - Ross tych słów dziewczyny słuchał z prawdziwą satysfakcją.

- Przecież po tym, co nas łączyło...

- Nic nas nie łączyło. Nic o sobie nie wiedzieliśmy.

Nie byliśmy zakochani, nie pragnęliśmy się nawzajem. Nie byliśmy nawet przyjaciółmi.

- Byliśmy... -jękliwym głosem zaprzeczył Yale.

Popatrzyła na byłego narzeczonego tak, jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu.

- Pewien bardzo mądry i wspianiały człowiek powiedział mi kiedyś, że pobyt w tej części świata zdziera blichtr cywilizacji i że wcześniej czy później każdy musi obnażyć swą prawdziwą osobowość. - Oczy Diany się zwęziły. - Jesteś gigantycznym łobuzem, Yale. I nic na to nie mogę poradzić. Musisz wypić piwo, którego sobie nawarzyłeś - powiedziała z niesmakiem.

- O Boże! Jakie ja teraz będę miał okropne kłopoty! - jęczał Grimmer.

Ross przestał się odzywać i miał nadzieję, że Diana zrobi to samo.

Zdenerwowany Grimmer chodził nerwowo po pokoju.

- No dobrze. Przyznaję, że znam człowieka, którego nazywają Carlosem. To gruba ryba. Niebezpieczny facet.

- Czym się zajmuje?

- Handlem na dużą skalę. Eksport-import.

- To na ogół oznacza przemysł - stwierdził Ross.

- Tak. Zazwyczaj - przyznał Grimmer. - Zawarłem z nim umowę. Obiecałem dostarczyć towar, a Carlos załatwił nabywcę.

- No i...? - ponaglił Ross.

- Carlos dał mi zaliczkę. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Resztę miałem otrzymać po dostarczeniu towaru.

Ross słuchał uważnie. Był zaciekawiony.

- Coś poszło nie tak?

Grimmer przeciągnął ręką po włosach.

- Widocznie jeszcze ktoś inny dowiedział się o zamierzonej transakcji. - Spojrzał na Rossa.  
- Niektórzy kolekcjonerzy nie cofną się przed niczym, byle tylko zdobyć to, na czym im zależy. Miałem jeszcze jedną ofertę. Dlatego przyleciałem na Port Manya i tam wynająłem łódź. Niektórzy klienci wolą się spotykać w ustronnych miejscach.

- Na przykład nad brzegiem morza.

- Tak. Na opustoszałych plażach. W środku nocy.

- Czy wiedziałeś, że Carlos wysłał swoich zbirów, żeby przeszukali pokój Diany tutaj, w Manili?

- Nie miałem o tym pojęcia. Przysięgam. Powiedziała mi o tym dopiero przed chwilą.

- A czy zdawałeś sobie sprawę z tego, że Carlos posłał ich także za tobą na Port Manya?

- Nie. Widocznie ktoś ujawnił mu moje poczynania.

- Jakie?

- Znalazłem innego kupca. On też dał mi zaliczkę na poczet tej monety.

- Grałeś na dwa fronty?

- Tak. Od kolekcjonera dzieł sztuki z Singapuru dostałem pięćdziesiąt tysięcy dolarów zaliczki. Gotówką. W małych banknotach. Nie do wykrycia. Bez podatku. Czysty zysk. - Yale mówił to wszystko z błyskiem w oku, nie ukrywając zadowolenia.

- Myślałeś, że wykiwasz obu?

- Jasne.

- Boże! Yale! Coś ty uczynił? Jak zamierzasz teraz ratować swą skórę? - wykrzyknęła przerażona Diana.

Oczy Grimmera nadal płonęły blaskiem.

- Chciałem zatrzymać obie zaliczki, sprzedać monetę jednemu, temu kto da więcej, i zniknąć, zanim drugi się zorientuje, że go nabrałem.

- Nawet nie przestrzegasz etyki złodziejskiej - stwierdziła zgnębiona dziewczyna.

- Jesteś cholernie głupi. Będziesz miał prawdziwe szczęście, jeśli ujdiesz z życiem - zauważył Ross.

- Dlatego właśnie muszę mieć tę bransoletkę.

- Diana mówiła ci prawdę. Nie ma jej i nie wie, gdzie jest - oświadczył Ross. - Ostatni raz widzieliśmy ją oboje będąc w dżungli.

Yale opadł ciężko na krzesło i jęknął głucho:

- Zabiją mnie! - W ciągu dziesięciu minut postarzał się o dziesięć lat.

- Niekoniecznie. Może znajdzie się jakieś wyjście. Zachowaj się uczciwie. Zwróć pieniądze - poradził Ross.

- Kiedy ja już prawie wszystko wydałem. Gdybym nawet oddał zaliczkę, i tak by mnie wykończyli. Tylko dlatego, że próbowałem ich oszukać. Dla takich ludzi to wystarczający powód.

- Szkoda, że o tym wcześniej nie pomyślałeś.

- Nie ma życia przede mną. Równie dobrze mógłbym teraz wyskoczyć przez okno!

- To nawet sensowne rozwiązanie - rzekł Ross - ale, niestety, zmartwiłoby Dianę. A ja bardzo nie

lubię, kiedy ją coś gnębi. Powiem ci więc, co masz zrobić.

Grimmer podniósł głowę i popatrzył uważnie na swego rozmówcę.

- A kim ty, do cholery, właściwie jesteś?

Diana aż podskoczyła.

- To dżentelmen w każdym calu.

- Jestem zwyczajnym człowiekiem.

- Jesteś nadzwyczajnym człowiekiem - wyszeptała Diana patrząc na Rossa wzrokiem pełnym uwielbienia.

Chciał już zakończyć wreszcie całą tę sprawę. Czekają go ważniejsze problemy do rozwiązania.

- Napiszę parę słów do sierżanta Boka - powiedział do Grimmera. To solidny człowiek. Zwalcza przemyt na wodach otaczających wyspę. Leć z samego rana na Port Manya i zgłoś się natychmiast do niego. Może ubijecie interes.

- Interes?

- Tak. Ty przekażesz mu informacje, a on zapewni ci bezpieczeństwo. Takie transakcje dość często się zawiera.

Grimmer spojrzął podejrzliwie na Rossa.

- Dlaczego robisz to dla mnie? - zapytał.

- Nie dla ciebie, łobuzie, lecz dla Diany. Jest miłą, serdeczną i dobrą dziewczyną. Nie chcę, żeby z twojego powodu miała jakieś wyrzuty sumienia.

Diana podeszła do Rossa i ujęła go za rękę.

- Kochanie, czy jest u ciebie mój pierścionek?

- Och, zupełnie zapomniałem. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął klejnocik. - Co mam z tym zrobić?

- Oddaj mi, proszę.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak.

- Za taki pierścionek mogłabyś mieć furę najmodniejszych ciuszków. I kilkaset par terenowych butów.

Roześmieli się oboje. Grimmer nie miał pojęcia, co ich tak ubawiło.

- Modne ciuszki nie są mi potrzebne, a parę mocnych butów już mam. Kiedy kobieta zrywa oficjalnie zaręczyny, zwraca pierścionek. Taki jest zwyczaj.

- W porządku. - Ross rzucił cacko w stronę Grimmera, który złapał je w powietrzu.

- Yale, będzie ci potrzebny dobry adwokat, a to kosztuje ciężkie pieniądze - spokojnie powiedziała Diana.

- Chcę dostać tę cholerną bransoletkę - warknął Grimmer.

Cierpliwość Rossa już się wyczerpała. Dla tego bezwartościowego człowieka zrobił zbyt wiele. Podszedł do Grimmera, ściągnął go z krzesła i doprowadził do wyjścia.

- Wynoś się stąd, zanim stracę cierpliwość i zrobię z ciebie miazgę.

Yale zbladł.

- Żegnaj, Diano.

- Żegnaj, Yale - odpowiedziała posłusznie dziewczyna.

Ross wyciągnął otwartą dłoń w stronę Grimmera.

- Oddaj klucz do tego pokoju. Nie będzie ci dłużej potrzebny. Sam zwrócę go w recepcji.

Grimmer bez słowa wykonał polecenie.

- Odstawię go do windy, słoneczko - powiedział Ross do Diany. - Zaraz wrócę i zamówimy kolację.

- Tylko się pospiesz - poprosiła.

Na korytarzu Grimmer odezwał się do Rossa:

- Diana to kosztowna babka. Nie będzie cię stać na zapłacenia jej rachunków za ubrania nawet za jeden miesiąc.

- Nie taki to problem, jak sądzisz - odrzekł Ross przez zaciśnięte zęby.



- A wiesz, ile kosztuje jedna para jej pantofli?
- Mniej więcej.
- No to jak zapewnisz standard życia, do jakiego jest przyzwyczajona?
- Nie twoja sprawa. Jakoś sobie poradzę.
- Skąd weźmiesz forszę? - ciągnął ze złością Gnmmer.

Ross postanowił wreszcie przerwać te bezsensowne indagacje.

- Czy słyszałeś kiedyś o St. Clairach z Phoenix i Palm Springs? - spytał Grimmera.

- Jasne. Wszyscy ich znają. Są cholernie bogaci. Należy do nich połowa całej Arizony.

- A do ich syna jeszcze niezły kawałek Kalifornii i Hawajów.

- I pomyśleć, że taki skurczybyk tarza się w forsie.

- Z zazdrości Grimmer aż pozieleniał.

- Tak. Tarza. - Ross ściągnął windę i wepchnął Grimmera do środka. - Chyba ci Diana zapomniała powiedzieć, jak się nazywam - powiedział.

- Nie mówiła.

- Ross Matthew St. Clair.

- Ten właśnie St. Clair?

- We własnej osobie. Możesz teraz spać spokojnie wiedząc, że Dianie nie będzie zbywać na niczym.

Drzwi windy zamknęły się bezszelestnie. Yale Grimmer stał jak wryty, z ustami otwartymi ze zdziwienia. Po chwili mruknął z wściekłością pod nosem:

- A to sukinsyn.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Wyprawiłeś Yale'a? - spytała Diana podnosząc głowę znad karty potraw, którą właśnie przeglądała.

- Wsadziłem go do windy. Nawet wcisnąłem guzik na parter.

- Nie mam pojęcia, co w nim widziałam - przyznała ze skruchą. - Sądziłam, że jest wybitnym fachowcem i uczciwym człowiekiem. A okazało się, że to wielki łobuz i kłamca.

- Chyba wszyscy ludzie od czasu do czasu mijają się z prawdą. Czasami kłamstwo polega na jej zatajeniu.

Diana nie bardzo wiedziała, co Ross ma na myśli. Była głodna i chciała jak najszybciej dostać kolację.

- Na co masz ochotę? - spytała patrząc w kartę.

- Na ciebie - odpowiedział miękkiem głosem.

- Przyrzekłeś przecież, że najpierw zjemy, a potem porozmawiamy.

Miał niepewną minę.

- Rzeczywiście to ci obiecywałem?

- Tak.

- Zupełnie nie wiem, co mi strzeliło do głowy, żeby przyrzekać coś tak bezsensownego. - Pokazał w uśmiechu rząd białych zębów.

- Oboje jesteśmy głodni. A po kolacji musimy odbyć poważną rozmowę.

- Święta prawda - przyznał Ross. - No to zamów coś. Co chcesz. Niech to będzie dla mnie niespodzianka.

- Dobrze.

Usiadł wygodnie w rogu kanapy.

- Pamiętaj o szampanie.

- Coś świętujemy?
- Sądzę, że tak.

Zjedli dobrą kolację. Kelner uprzątnął stolik i zniknął bez słowa. W srebrnym wiaderku stojącym obok kanapy chłodziła się butelka szampana. Na tacy znajdowały się dwa kryształowe, napełnione kieliszki. W pokoju panował półmrok. Z oddali dochodziły łagodne dźwięki muzyki, a z okna można było podziwiać pięknie oświetloną panoramę miasta.

Była to romantyczna sceneria.

Dlaczego więc zarówno Diana, jak i Ross czuli się skrępowani?

Dziewczyna postanowiła przerwać niezręczną ciszę.

- Kto zaczyna pierwszy? - spytała.

Ross wyciągnął rękę i oparł ją lekko na ramieniu Diany.

- Może ty? - zaproponował.

- Dobrze. Dlaczego skłamałeś Yale'owi, gdy pytał o bransoletkę?

- Uważałem, że po tym, co ci zrobił, nie powinien odzyskać monety.

- Czy naprawdę byłeś na niego bardzo zły za to, że posłużył się mną jako kurierem? - ostrożnie spytała.

Rysy Rossa stężały.

- Chyba jeszcze nigdy w życiu nikt mnie tak nie rozwścieczył. Czuję zawsze nienawiść do każdego człowieka, który wykorzystuje kobietę i naraża jej życie na niebezpieczeństwo. A fakt, że zrobił to twój narzeczony, moją złość spotęgował. Kiedy byłem dzieckiem, rodzice wpoili mi jedną zasadę.

- Jaka?

- Że powinienem kierować się wyłącznie sumieniem. Że ono ma być w życiu moim przewodnikiem.

- Coś mi się zdaje, że bardzo polubię twoich rodziców - oświadczyła Diana.

- A oni pewnie zwariują na twoim punkcie - mruknął pod nosem Ross.

- Teraz twoja kolej - przypomniała dziewczyna.

- Daj rękę - poprosił.

Wyciągnął z kieszeni bransoletkę i podał ją Dianie.

Przesuwała maskotki w palcach. Dotarła do monety.

- Nigdy jej nie lubiłam, ale ćwierć miliona dolarów...

- To duże pieniądze.

- Chyba tak.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Ross.

- Z czym?

- Z monetą. Stanowi przecież twoją własność.

Nie chciała ani bransoletki, ani monety. Ten urodzinowy prezent już się dla Diany nie liczył. Postanowiła, że nigdy więcej go nie założy.

- Weź, proszę. - Wyciągnęła rękę z bransoletką w stronę Rossa.

- Ja?

- Chcę, żebyś ją zatrzymał.

- Dlaczego? - spytał cicho.

Zawahała się przez chwilę, po czym prostolinijnie wyjaśniła:

- Jesteś wspaniałym człowiekiem. Nie ma takiego drugiego na świecie. - W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. - Wiem, że nie jesteś zamożny. Sprzedaj tę monetę, zacznij wszystko od nowa i ułóż sobie życie.

Ross uśmiechnął się do Diany.

- Właśnie zamierzam to zrobić. Ale monety nie chcę.

- Nie chcesz?

- Nie, słoneczko. Mam pomysł, co z nią zrobić.

- Jaki pomysł?

Diana zobaczyła, że Ross patrzy gdzieś daleko, w przestrzeń. Jego oczy nie były ani zielone, ani brązowe, ani niebieskie. Stanowiły cudowną mieszaninę tych trzech barw.

- Na morzu Celebes jest mała odludna wyspa.

- Głęboki głos mężczyzny brzmiał ciepło. - Ludzie są tam biedni, lecz pracowici i uczciwi. Na wyspie nie ma szkoły. W miasteczku jest główna, nie brukowana ulica z nędznymi domami. Znajduje się tam także podupadły hotel mający dziwnego właściciela.

- To hotel Paraiso, czyli hotel Raj.

- Możemy sprzedać monetę - ciągnął Ross - a uzyskane pieniądze ofiarować mieszkańcom Port Manya. Zbudują sobie szkołę i sprowadzą nauczyciela.

- Pablo nauczy się czytać i pisać.

- Podobnie jak reszta dzieci na wyspie.

Był to wspaniały pomysł.

- Zróbmy tak - szepnęła zachwycona Diana. - To minimum co możemy uczynić w związku z tym, co się tam stało.

- W związku z czym, co się tam stało?

Diana straciła nagle całą odwagę. A co będzie, jeśli się pomyliła i Ross nie odwzajemnia jej uczuć? Jeśli źle odczytała jego zamiary? Jeśli namiętność, której doświadczyli, była z jego strony jedynie sprawą zmysłów?

Wielki Boże! Co się stanie, jeśli on mnie nie kocha?

Wyjście na idiotkę nie jest tragedią, myślała Diana. Przecież są w życiu rzeczy znacznie gorsze niż odrzucenie przez mężczyznę. Niż wyznanie miłości i usłyszenie, że on tego uczucia nie odwzajemnia.

A jakie są te gorsze rzeczy?

Grać bezpiecznie? Bać się? Nigdy nie przeżywać namiętności? Nigdy więcej nie całować Rossa? Pozwolić mu odejść na zawsze i nie wyznać przedtem, że go szanuje, ubóstwia, pożąda i kocha?

Diana odetchnęła głęboko. Odwróciła się w stronę Rossa i potwierdziła z kamienną twarzą:

- Tak. To jest minimum, co mogę zrobić w związku z tym, co tam się stało. Bo właśnie na Port Manya się zakochałam.

- Zakochałaś się? - powtórzył Ross.  
- Na Port Manya zakochałam się w tobie.  
- Czy jesteś tego pewna? - Ross ujął w dłonie twarz Diany.

- Tak.  
- Skąd wiesz? Skąd, do licha, możesz to wiedzieć?  
- To proste. Próbowałam wyobrazić sobie życie bez ciebie. I nie potrafiłam.

W Rossie coś się nagle przełamało. Przyciągnął Dianę do siebie.

- Kocham cię. Kocham cię tak bardzo - wyszeptał schrypniętym z przejęcia głosem - że nie dbam o to, czy jesteśmy dla siebie odpowiedni. Nie chcę już żyć ani minuty dłużej nie mając pewności, czy będziesz ze mną.

- Będę. Przyrzekam - odrzekła drżącym głosem.

Wziął ją w ramiona.

- Powtórz to, proszę. Powiedz jeszcze raz. Te słowa są mi potrzebne. Czekałem diabelnie długo, żeby je usłyszeć.

Popatrzyła w głębokie, agatowe oczy mężczyzny i łamiącym się głosem powiedziała:

- Kocham cię, Rossie. Zawsze będę cię kochała.

Trzymał dziewczynę mocno w objęciach.

- Kocham cię, Diano. Kocham cię całym sercem, duszą i ciałem.

- Na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie...

- szepnęła.

- Naprawdę nie martwiłabyś się, że jestem biedny?

- Słowo. Pieniądze nie mają znaczenia. Liczysz się tylko ty. Tylko ty, Rossie.

Obserwował ją uważnie.

- Czyli nie miałyby dla ciebie znaczenia fakt, że jestem bogaty?

- Nie. - Roześmiała się promiennie. - Przecież nie jesteś.

Miał nadzwyczaj poważny wyraz twarzy.

- Jestem.

W tej chwili Diana była bardziej zainteresowana całowaniem Rossa niż dalszą konwersacją.

- Kim jesteś? - dla porządku spytała.

- Jestem bogaty - odpowiedział.

- No to trudno. - Machnęła ręką. - Nikt nie jest bez skazy.

Teraz z kolei Ross roześmiał się głośno. Oboje uznali, że jak na jeden wieczór mają już dość rozmowy. Wsunął rękę między poły szlafrocza i objął pierś dziewczyny. Zadrżała.

Ogarnęło ich pożądanie i nic więcej się nie liczyło. Szlafroczek gdzieś zniknął. Kombinezon koloru khaki wylądował na dywanie. Ross pokrywał pocałunkami twarz, szyję i piersi Diany. Przycisnął wargi do gładkiej, aksamitnej skóry na brzuchu i przeciągnął rękami po długich, smukłych nogach dziewczyny. Uniósł nieco jej pośladki i całował tak, że wykrzyczała głośno jego imię i swą miłość, a chwilę potem osiągnęła szczyt.

Wróciła na ziemię. Zaczęła głaskać i pieścić Rossa. Mieli na wargach smak własnych ciał. Była to pieśczoła niezwykle porywająca. Namiętna.

Teraz Ross rozsunał uda dziewczyny, pragnąc wziąć od niej wszystko, co ma mu do zaofiarowania, i dając równocześnie to, o czym marzyła, czego pożądała i potrzebowała.

Kochali się ciałem, sercem i duszą. Ich ciała stanowiły jedność. Ich serca i dusze także stały się jednością.

I kiedy oboje wzniesli się na szczyty, Diana powtarzała w myśli: Ross. Ross. Ross.

A na jego wargach znalazło się imię: Diana.

## EPILOG

Wszelkie śluby i uroczystości weselne nie zawsze są zupełnie idiotyczną stratą czasu, myślał Ross St. Clair stając u stóp ołtarza. Nie są, jeśli odbywają się w odpowiednim czasie, w odpowiednim miejscu i jeśli mężczyzna żeni się z odpowiednią kobietą.

Zaraz rozlegną się organy i rozpocznie cała uroczystość.

Ross czekał na Dianę. Wiedział, że za chwilę zobaczy ją po raz pierwszy w ślubnym stroju. Serce zaczęło mu bić głośno.

Gdy zabrzmiały wstępne tony muzyki, zgromadzeni w kościele goście podnieśli się z ławek i zwrócili głowy w stronę wejścia. Ross ujrzał najpierw kroczących godnie szwajcarów, a za nimi drużny panny młodej. Była wśród nich jego siostra, Catherine. Za dziewczyną niosącą kwiaty i osobą z tacą z obrączkami zobaczył wreszcie oblubienicę. Szła majestatycznie i powoli, wsparta na ramieniu ojca.

Ta wysoka, jasnowłosa, wytworna i piękna pani - to była jego Diana. Ross wiedział już teraz dobrze, iż pod chłodną powierzchownością kryje się kobieta gorąca i bardzo namiętna.

Nie odrywał od niej wzroku aż do chwili, gdy podeszła do niego. Stali teraz razem u stóp ołtarza. Uroczystość rozpoczęły sakramentalne słowa: „Zebrałiśmy się tutaj, w obecności Boga, żeby połączyć tego oto mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim...”



A kiedy wreszcie Ross usłyszał, że pan młody może pocałować swą wybrankę, dotknął wargami ust Diany i wyszeptał:

- Jesteśmy w raju.